



PAMIĘTNIKI

LEKARZA POLAKA.

Wydawnictwo "Czytelnik"

PAMIĘTNIKI

LEKARZA POLAKA

Z WYPADKÓW ZA GRANICĄ DOZNANYCH

SPISAE

D^r T. Tripplin.

TOM V.

WARSZAWA.

Nakład i druk **S. Orgelbranda** Księgarza i Typografa
przy ulicy Miodowej Nr. 496.

1855.

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury
po wydrukowaniu prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

Warszawa dnia 25 Czerwca (7 Lipca) 1854 r.

Starszy Cenzor, Radca Dworu **J. Papłowski.**

403611



599199

D/134/59

ROZDZIAŁ I.

LEKARZE CUDZOZIEMCY W LONDYNIE.

I. Doktor Costello i chirurg Johann.

— Tak, szanowny panie kolego, nie tak łatwo przyjdzie panu zdobyć praktykę w Anglii, jak panu przyszło zdobyć naukę, tytuł i *licentiam practicandi* w Prussach! — mówił doktor Costello do zakłopotanego autora tych pamiętników, w kilka miesięcy po jego przybyciu do Anglii — 'Tutaj *licentia practicandi* wcale panu niepotrzebna do praktyki: bez wielkiej nauki obejśćby się można tu w Anglii; wolno siebie samego mianować doktorem, tak jak we Francyi wolno się

mianować szlachecciem, wikomtem i margrabią. Dziwna rzecz, że znów w Anglii sroga kara spada na tego, co sobie przywłaszcza tytuły szlacheckie; a we Francyi prawo prześladowuje tylko przywłaszczycieli tytułów naukowych. Ha! to się tłumaczy z stanu politycznego obu krajów.

We Francyi mądrość jest monopolem uniwersytetu, a w Anglii szlacheństwo jest monopolem monarchy. Więc tak tedy, kochany mój koleżko, zanadto jeszcze jesteś młodym, abyś mógł z godnością dźwigać poszanowanie wzbudzający tytuł doktora; nie uwierzą ci Anglicy że jesteś doktorem, łatwiejby uwierzyli innemu, co czytać nie umie, a poważniej wygląda.

Tak zawsze jeszcze mówił doktor Costello do mnie bardzo skłopotanego, a siedzącego na krześle z głową zadartą niezmiernie w górę, tak jak mam zwyczaj ją zadzierać, kiedy jestem w smutku,—zapewnie dla tego, żeby postawa nie zdradzała co się w duszy dzieje, *pour faire bonne mine à mauvais jeu*, jak to mówią Francuzi.

— A czemuż Niemcy, którzy przecież także są poważnego charakteru, mianowali mnie doktorem i za takiego uznawali; *cur me Doctorem*

proclamaverunt proclamatumque cognoverunt? —
 spytałem kolegi mojego.

- Bo są oświeceni od Anglików, drogi koleżko; bo każdy Niemiec z średniej klasy tyle już posiada nauki, że stopień nauki tego ocenić potrafi, z którym ma do czynienia. Tutaj u nas w Anglii lubią potęgę, wygodę i dobre życie, i przedewszystkiém rozumy Anglików na to są napięte, żeby jednego, drugiego i trzeciego było podostatkiem; tam zaś w Niemczech, to jeszcze lud niewinny, zadawalnia się uciechami umysłowemi, dla tego zapewnie, że te są tańsze daleko. Tam nieskończenie więcej oświaty w nadpowietrznych sferach, a tu więcej zaufania w bystrość własnych oczu, bo tu człowiek żyje samoistniejszém życiem niż tam, i wyrabia sobie sąd, albo przynajmniej wiarę w swój sąd, owém praktycznym istnieniem. Anglik zawierzy tylko temu, co ma minę człowieka sobie ufającego, a téj miny koleżka kochany jeszcze sobie nie zdobył, bo jest sumiennym człowiekiem, wie że *ars nostra est longa et iudicium fallax*; że sztuka nasza jest długa, a sąd zwodniczy, i za nic w świecie nieowiany jeszcze nieubłaganém powietrzem

praktycznego życia, nie chciałby splamić najmniejszego płatka swego sumienia, i pewność udawać tam, gdzie jój wcale być nie może.

Tak zawsze jeszcze prawil doktor Costello, pijąc *Ale* z porterem i nalewając mi w szklanke tak pilnie, jak własną wypróżniał.

— Co do praktyki, mój drogi kolego Costello, przecież ją mam! — odpowiem na te nieublagane argumenta towarzyszowi — dnia nie wyjdzie, żebym ze dwanaście, z piętnaście recept nie przepisał.

— *Praxis pauperum*, nie nie warte; na takić praktyce, lekarz siłą pięćdziesięciu koni obdarzony, zrywa ją, stetryczeje i zapomni sztuki swojej — rzecze ze wzgardą doktor Costello, rzucając niedopalone cygare w komin.

— Hola! protestuję! sztuki swojej zapomina? owszem, im więć się ćwiczyl doktor, tém więć się kształcił!

— Kształcił w czém? w potykaniu się z chorobą, ale nie w ucieraniu się z ludźmi, otaczającymi chorego. Biedak u nas zażyje wszystko, co mu się da darmo, pelen wiary, że mu to na dobre wyjdzie; zażyłby i truciznę, żeby się leka-

rzowi choć ufnością wypłacić za jego starania; ale bogaty? nie tak panie. Bogaty ma około siebie rodziców, żonę, dzieci, braci, swatki, sługi i sąsiadki. Jedni chcą, żeby jak najprędzej wyzdrowiał, drudzy chcą, żeby umarł; sąsiadki po większej części wyranżerowane ciotki i kuzynki lękają katastrofy, chciałyby doświadczyć wstrząśnięć, nudzą lekarza, żeby go znękać, zbalamucić, zmusić do powiedzenia jakiegoś niedorzeczności, wołają ganić jak chwalić, sto tysięcy razy wołają i szukają powodu do tego. Oho, nie łatwo to utorować sobie drogę pomiędzy tym zawiklanym labiryntem sprzecznych interesów, a łatwo dać się zbalamucić naleganiami, pytaniami, namowami, a wówczas jakaż to radość pomiędzy temi przyjaciółkami domu, czyhajęciami na reputacją doktora jak koty na kanarka? Otóż potykać się z takimi zawodami i trudnościami, to mi weale co innego, weale inna sztuka jak bić się z samą chorobą, która zawsze dziesięć razy łatwiejsza do pokonania, jak złość lub głupstwo osób otaczających chorego. W praktyce ubogiej, lekarz weale nie ma sposobności nabywania strategii, mocą której zwalcza zawady po za

chorobą leżące; i to pewna, że kto się nauczył medycyny na ubogich, ten lepiej i prędziej leczy od innych; ale bogatego nigdy nie dostanie do leczenia, bo nie zdobędzie *savoir faire* światowego, nie obtrzaska się z wymaganiami bogatych, będzie się zrażał nimi, a nie nauczy się z nich ciągnąć korzyści. Ja koledze szczerze radzę, starać się pozbyć owój praktyki, w której nikną codziennie siły twoje bez żadnej korzyści; ta praktyka u cudzoziemców niemających z czego żyć, nie wprowadzi cię w praktykę płatną, bo tu najmniejszego nie masz punktu zetknięcia pomiędzy owemi nieszczęsnymi a towarzystwem londyńskim, i nie będzie nigdy, bo się tu brzydzą ubóstwem!

Otóż doktor Ratajski stał się już ofiarą gorliwości swojej, na tak ogromną liczbę chorych, jak wy pomiędzy sobą macie, wystarczyć nie mógł, pomimo najlepszych, najświętszych chęci, wszystkich nie zadowolnił; a teraz leży w suchotach, umiera w nędzy serce zakrwawiającej, Kolega go zastępuje w téj chwili w powinnościach względem ziomeków,—za parę miesięcy,

zastąpisz go w kandydaturze na tamten świat, przysięgam na to!

— Ale cóż mam robić na miłość Boga ukrzyżowanego? dać umierać kolegom moim bez pomocy? Do kogóż się udadzą, jeśli nie do mnie? Doktor Ratajski już na łożu choroby, która się śmiercią skończyć musi. Doktor Szczap.. dobry bardzo lekarz, zwątpił o skuteczności medycyny, zarzucił ją zupełnie, i za nic w świecie żadnej recepty nie zapisze. Dumnemu doktorowi Benio.. znów medycyna nie wystarcza do dopięcia ambitnych celów. Doktor zaś Kōnar.. tak mało zna medycynę, że ani on sobie, ani nikt jemu się nie powierzy. Doktor Łyszcz.. wyjechał do Indyj Wschodnich, zaciągnąć się do służby wojskowej w kompanii wschodnio-indyjskiej. Więc prócz mnie, nikt nie pozostał, któryby chciał lub mógł się poświęcić. Nie mogę zrobić inaczéj, musiałem na siebie wziąć ów okrutny ciężar, lubo wiem, że te znoje, niepokoje i biedy zabić mnie muszą.

— Szkoda kolegi, niezmierna szkoda! mógłbyś żyć długo i przydać się na coś lepszego światu, a tak marnie zginiesz i nikogo nie zado-

wolnisz. *Cui bonus?* Ale czemuż nie przesyłasz tu do mojego dyspensatoryjum takich chorych, którzy chodzić mogą: tu im się udzieli radę i lekarstwo bezpłatnie — spyta doktor Costello?

— Ho! ho! szanowny kolego, pozwól sobie powiedzieć, że wasze *foreign Dispensary* (1) nie wzbudza żadnego zaufania u moich kolegów. Nasi koledzy, chociaż biedni, w ogóle wyżsi są ukształceniem od Anglików, i doskonale wiedzą, że ów Pseudo-doktor Johann, którego szanowny doktor Costello mianował swym zastępcą w dyspensatoryjum, najmniejszego nie ma wyobrażenia o sztuce leczenia chorób wewnętrznych, że się zna na medycynie jak koza na pieprzu. Alboż go to nie znają oddawna, i nie widzieli go pruskim chirurgiem kompanicznym w pulku Landwery na Żuławach pruskich. Na raz jeden, chirurg Johann, nie widząc dla siebie żadnego za-

(1) *Dispensary*, jest to zakład, w którym wydają chorym przychodzącym rady i lekarstwa. Po większej części użyteczne te zakłady winny osobom prywatnym istnienie swoje. Jest ich teraz do 12, rozsianych po różnych dzielnicach Londynu.

wodu w ojczyźnie, postanowił korzystać ze znajomości języka polskiego, którym mówi jak krowa hiszpańska, przyłożył sobie z przodu tytuł doktora, z tyłu zaś końcówkę *ski*, i przybiegł tutaj do Londynu, gdzie, dzięki dobrej minie swojej, znalazł protektorów, którzy siedmiu podpisami, zrobili z kielbasy węgorza, i otóż figuruje jako *nieszczęśliwy rodak*, i pobiera jakie takie wsparcie. Ależ ci sami, co go mianowali, wiedzą czém był poprzednio, i nie powierzyliby mu losu państwa ani włoska na głowie. Pić z nim będą chętnie, brać go na fundusz, ale nie wierzą, żeby doktor Johannski był w stanie rozeznąć katar od reumatyzmu, lub podagrę od zapalenia płuc. Zęb wyrwać, krew puścić, nagniotki wyrznać, bańki postawić, brodę ogolić—oto wszystko, co potrafi wasz doktor Johannski, zastępca dyrektora zakładu *foreign dispensary*.

— No, a proszę, proszę, a Anglicy i majtki z wszystkich narodów, bardzo zadowoleni z doktora Johannskiego. On z niemi umie gadać, umie ich bureczyć i łagodzić, imponuje im wzrostem i dobrą miną, wyrazami i rubasznością swoją żuławską. Zachwycają się nim, powiadam

panu. Mówi kilkoma językami, żadnym dobrze, nawet niemieckim, rodzinnym swoim, dość miernie, a da sobie radę z Anglikiem, Francuzem, Holendrem, Duńczykiem i Rossyjanem, również dobrze jak z Niemcem. Oni wszyscy jego przekładają nademnie. Wielkiej téż filozofii nie potrzeba z naszymi pacjentami, którzy po większej części są marynarzami. Przepije się, pleura mu się zapali, pamiątkę sobie skądś przywiezie, obity jest, potluczony lub skałeczony, reumatyzm lub zęby mu dokuczają. Na to wszystko mamy lancet, bańki, cztery różne maści w słojach, i dziesięć beczek napelnionych, każda innym dekoktem, miksturą, rozczyntem lub ukropem. Wszystko to wystarczyć musi na wyleczenie wszystkich chorób, jakie się tylko zjawić mogą u biedaka,—i to wystarcza dalibóg, bo u prostaków proste i choroby. Pod każdą beczką leży z kilkaset kamionków oklejonych w papier, na którym w czterech językach opisany jest sposób zażywania i zachowania się podczas kuracyi, a wyłożony jak najjaśniej, jak na łopacie, żeby to było dostępne na tępe mózgi. I jakoś się udają wybornie *nostra experimenta in anima vili*, i śmiało

można zaręczyć, że nasz zakład dobroczynny niezmiernie wiele dobrego robi. A ile kosztuje pacyenta cała kuracyja? sześć pensów, to jest złoty polski za kamionkę, ani denara więcej. Daje sobie wybornie radę doktor Johannski i wielkiem cieszy się współczuciem u majtków. Za nie w świecie nie rozstalbym się z doktorem Johannskim, bo wielkie i rozliczne ciągnę z niego korzyści. Myśli pan może, że mu placę za zastępowanie mnie w dispensatoryjum? Nie tylko że nie placę, ale on jeszcze okupuje mi się. Wielu z pacjentów przynosi mu małe kubaniki. Jeden przyniesie mu morską rybę, drugi butelkę przeszwarcowanego koniaku lub wina, lub parę funtów tytoniu, cygar, inny cokolwiek pieniążków,—i kładą mu to w ową katedrę, z której egzaminuje chorych i wydaje rozporządzenia. Zarobione tym sposobem ukradkowym pieniążki, wystarczą mu wraz z tém co mu daje towarzystwo literackie przyjaciół na suknie; wiktualy idą na mój stół, przy którym się i on żywi i jak pan widzi, karmi doskonale, bo to przecież chłop zamaszysty jak jaki John Bull; a przytém pomocnym mi jest przy drukarni.

— A to przy jakiej drukarni? czyto państwo drukujecie pacjentów swoich? — spytam.

— Ach tak! przecież tu mamy własną drukarnię. Wiele wychodziło pieniędzy na winiety, którymi obwijamy nasze leki, ja zaś proponowałem dobroczyńcom naszego zakładu, aby zakupili całą prasę i drukarnię na użytek dispensaryjum, i mianowali syna mojego najstarszego, który jest bardzo dobrym zecerem, zawiadowcą téj drukarni,—że ja za to obowiązuję się napisać co kwartał traktacik chirurgiczno-religijny, w duchu jak najpobożniejszym protestanckim i w czterech językach: traktacik zastosowany do pory roku, do świąt i do Ewangelii. Taki traktacik będzie przyłączonym do każdej butelki dekoktu infuzji, roztworu lub miksury, i wielce się przyłoży do rozkrzewiania uczuć pobożnych pomiędzy wszystkimi narodami. Niezmiernie się podobała myśl moja protektorom zakładu, i zakupiono śliczną mechaniczną prasę i czcionki, syna mojego zaś mianowano zawiadowcą drukarni, urządzonej właśnie w sali, w której się odbywają konsultacje. A tak, rano tam kurują, po południu zaś drukują. Ale wiec pan czego najwięcej drukują?

spyta się, mrużąc dowcipnie oczami doktor Costello.

— Spodziewam się, że więcej winietek jak traktacików higieniczno-religijnych w duchu pietyzmu.

— I tego się drukuje podostatkiem, ale wie pan czego najwięcej? Nie! tego się pan nigdy nie domyśli, ale ja się panu, jako dobremu kole-dze, zwierzę; bo mnie pan z sekretu nie wydasz, a mam powody dla których pana przypuszczam do sekretu. Znasz pan pismo tygodniowe pod tytułem: *The penny Satirist?*“

— Wychodzące w sobotę z winietami, pismo pełne conceptów, zawierające opisy najnowszych zdarzeń politycznych, odkryć, podróży, smutnych katastrof, processów kryminalnych i tysiąc innych lud prosty zajmujących i oświecających przedmiotów; pismo z dobrą dążnością, nie ma co mówić, ale częstokroć za nadto uszczypliwe i nacechowane grubą rubasznnością, dotykające nieubłaganie śmiesznych stron towarzystwa angielskiego; jednakże pisane z wielkim dowcipem? Znam to pismo, nieraz je sobie kupuję, bo wielki jak prześcieradło arkusz, kosztuje tylko *penny*,

to jest pięć groszy, a właśnie wystarczy na przepędzenie niedzieli całej jako tako!!

— A tego pisma głównym i prawie jedynym redaktorem więc pan kto jest?

— Nie wiem — musi to być jakiś zgryźliwy Jowialski, jakaś wszechstronna intelligencyja, która się w niezém porządniejszém pomieścić nie mogła.

— A tak, a tak, ma pan słuszność. Redaktorem Satyrysty, jest sługa i kolega pański Dr. Costello.

Zadziwiony, zerwałem się z krzesła i krzyknąłem:

— Ale gdzież to być może, skądżeby koledze, tak gorliwie oddanemu medycynie, czas wystarczył na spisanie co tydzień tak ogromnego arkusza druku.

— A tak jest przecież, mój młody kolego. Wiele człowiek może gdy chce, a wiele chce gdy musi. Mam żonę i siedmioro dzieci różnie dorastających, a tyle rokujących nadziei. Medycyna nie wystarcza mi na utrzymanie domu mojego w stanie przyzwoitego komfortu, więc tedy zaciągnąć musiałem drugą stronę do łuku moje-

go. Prawda, że mi żona moja, znająca kilka języków i dobrze się wypisać umiejąca w angielskim, dzielnie dopomaga, starszy chłopak wyborczy rysownik i rytownik, robi winiety i drzeworyty; troje innych chłopaków w godzinach wolnych od nauk, składa niby dla rozrywki z rozczulającą ochotą moje koncepta; nawet starsza córka nauczyła się, tak igrając, składać pismo i upiéra się, żeby nie kto inny, tylko ona, składała powiastki przez matkę pisane. Znajomość obcych języków bardzo mi ułatwia redagowanie Satyrysty szelągowego; korzystam z wszystkich dowcipów, jakie się tylko drukują i rozpowszechniają na świecie, i anglicyzując te dowcipy należycie, wydaję je jako utwór téj ziemi Albionowi dumnemu z dowcipu swojego. O to idzie, żeby się nikt nie dowiedział, że cudzoziemiec jest autorem Satyrysty, tak nieublaganie biczującego harcap John Bulla, zarazby towar zaprzestał mieć urok dla anglika, zarazby przestał smakować ludowi naszemu, skoroby się dowiedział, że to w tyglu medycznym wygotowane owe jędrne jak pięść sterlingowe dowcipy. Więc tedy wszystko się dzieje pokryjomu, składa się tu na gó-

rze, formy wnoszą się wieczorem, kiedy aptekarz wyjdzie w nocy z soboty na niedzielę do sali dolnej, w której stoi maszyna, a poczciwy doktor Johannsky, nasz Herkules i wszechstronny gienijusz, zaprzęga się do maszyny, dzieci nakładają, odbierają i składają arkusze, i to odbijanie trwa przez noc aż do godziny dziewiątej rano, z krótkimi przestankami, w których posiłamy się najlepszemi pokarmami i truneczkami, jakie tylko mieści w sobie Anglija. Raniutko doktor Johannsky odwozi druki do bióra, umyślnie na to najętego w środku miasta, stamtąd je rozsyła przez trzydziestu biednych ziomeków pańskich do wszystkich kantorów gazetowych, i na wszystkie strony Londynu i hrabstw okolicznych, tak, że w oka mgnieniu rozprzeda się cały nakład, i drugie tyle rozprzedałoby go się, gdyby można wybić przez jedną noc więcej jak dwaście tysięcy numerów. Ale i tak piękny mi daje zysk mój Satyrysta, 25 funtów sterlingów, to jest tysiąc złotych polskich na tydzień czystego dochodu; przytem każde z moich dzieci zarobi sobie po funcie sterlingów, toż samo doktor Johannsky, a każdy z roznosicieli z pół funta

sterlingów w przecięciu. Tak trzeba manewrować kochany koleżko w owój świetnej Anglii, w której pieniędzy jest dużo, ale ubiegających się o nie jeszcze więcej, tak trzeba działać czynnie, mądrze i skrycie. Tymczasem gromadzą się pieniądze, i gdy Satyrysta szelągowy wyjdzie kiedyś z mody, bo to mu się przytrafić może, tak jak innemu pismu, jak się przytrafiło Momusowi, Śmieszkowi i Opryszkowi; w ówczas będzie czas się pocieszyć, a tym czasem dzieci dorosną w pracy, nauce i dobrym bycie na ludzi dzielnych, zdrowych na umyśle i na ciele. Ale wiele zależy od przechowania sekretu.

— Pojmuję, i dla tego mnie téż dziwi, że szanowny kolega powierza mi tak bez ogródki ów sekret.

— Mój dobrodzieju, wiem komu się zwierzam, ale przyznaję się, że mam w tem interes, że się zwierzam. Mój kolego szanowny proponuję ci udział w redakcyi Satyrysty, od pewnego czasu nie mogę podolać pracy, zaczynam się wyczerpywać, trzeba świeżego żywiołu naszemu pisemku, nim się spostrzeże publiczność, że się ono starzeje. Moja żona, która jest

kobietą dobrą, przenikliwym sensem obdarzoną, utrzymuje, że nikt się lepiej nie kwalifikuje na galwanizatora naszego Satyrysty, jak pan, który dzielnie patrzysz, jędrnie mówisz, a piszesz nie obwijając rzeczy w bawelnę.

— Hola ho! kochany kolego Costello, hola ho? ja od kilku miesięcy bawiący w Anglii, miałbym się porywać na biczowanie towarzystwa, do którego zaledwie wstęp uzyskałem, *ja* miałbym pisać po angielsku, kiedy zaledwie wysłowić się mogę w tym języku, — przedstawiam koledze.

— Lepiej panu wpadają w oczy śmieszności angielskie, jak innemu z nimi oswojonemu, lepiej daleko piszesz jak mówisz, to się jasno wykazuje z artykułów twoich w gazecie brytańskiej umieszczonych; a dla tego mówisz źle i niepoprawnie, że cię myśl pędzi galopem, że cztery języki nie wystarczyłyby na doścignięcie myśli twoich szybkich jak sokół. Zresztą styl poprawimy, tylko nam daj myśl tak wyraźnie i naiwnie wyrażoną, jak ją objawiasz. Pisz sobie i dobrotliwe, pisz i naukowe artykuły; na wszystko jest miejsce w na-

szém pisemku, byleby dążność była taż sama i *pocziwe oświecenie prostego ludu*. Kto się najjaśniej wysławia, ten prostemu ludowi najmilszy, ten posiada klucz do jego duszy a wytrych do jego kieszeni. Więc tedy możemy liczyć na kolegę? wynagrodzenie ofiarujęm panu piękne, pensa, to jest pięć groszy za wiersz.

— Na miłość Boga, skądże na te czasu wezmę? od rana do wieczora praktyką swoją niepłatną zatrudniony, nie wiem kiedy mi starczy czasu i siły na pisanie?

— I to już obmyśłone, i to już. W własnem mieszkaniu nie mógłbyś pisać, pokoju ci nie dadzą zdrowi i chorzy koledzy, tylko codziennie, zwłaszcza na początku tygodnia, racz się tu jawić wieczorem do mojego bióra, tu znajdziesz miejsce, wyborne materyjały piśmienne, pisma peryjodyczne, dykcyjonarze naukowe i wszystkie ułatwienia, znajdziesz i porter wiadrami, wyborny rostbif i wyśmienite cygara. Tylko o jedną rzecz prosić cię muszę: wychodząc z domu do mojego bióra, nie mów gdzie idziesz, żeby cię tutaj u mnie nie szukano. Przystajesz?

— Pal cię! oto przystaję, przystaję. Tylko poczekaj. Dwieście wierszy napisać mogę wieczorami trzy razy na tydzień, sześćset pensów czyli złotych polskich sto, sto złotych na tydzień zarobionych w trzech wieczorach jedząc, pijąc i paląc twoje konsumacje, to ujdzie.

— A gratysowych egzemplarzy?

— Jeden tylko, gdybyś dostawał więcej, i je rozdarowywał, toby zwróciło uwagę domyślnych i ciekawych, a tu idzie o tajemnicę; ale za to bilety codziennie do dwóch widowisk, koncertów, wystaw lub uroczystych obiadów. — Więc przystajesz?

— Bilety na teatr, koncerta, wystawy, uroczyste obiady, widowiska!—a na bale?

— I na bale; bo o nich także mówić trzeba w Satyryście, rozumié się ze zgrozą.

— Przystaję, spróbujmy jak pójdzie. Więc zjawię się w Poniedziałek.—Bądź zdrow.

— Hola! taki układ bez litkupu obejść się nie może. Mam tu bociankę malmazji, jakiej na świecie drugiej nie ma, i pieczonego ptaka z Norwegii przywiezionego. Jedne i drugie powinny

być pieczęcią związku naszego, kochany kolego Tripplin.

— Niech i tak będzie, niech i ten kielich będzie spełnionym dla dobra oświecenia ludowego.

Otóż taka odbyła się scena i rozmowa pomiędzy mną a doktorem Costello w trzy miesiące po przybyciu mojem do Anglii, w domu, którego pierwsze piętro było *dostłownie zawieszonem* nad przystanią Tamizy tuż obok podwodnego mostu Tunnelu, nieśmiertelnego dzieła francuzkiego inżyniera Isambert Brunnel.

A w jakim języku toczyła się taka rozmowa w domu zawieszonym nad Tamizą?

W czterech językach: w angielskim, niemieckim, francuzkim i polskim, na przemian, jak nam najwygodniej było.

Kim zaś był ów doktor Costello, którego nazwisko zdaje się włoskie, a który tyłoma mówił językami, i był przytem propagatorem protestantyzmu, lekarzem, dyrektorem dyspensatoryjum lekarskiego, i wydawcą szelągowego satyrysty, przytem ojcem sześciorga dzieci, gastronomem i członkiem towarzystwa biblijnego?

Otóż ten kolega był Szwajcarem z kantonu Gryzonów z miasta Coira, wychowanym był w wyznaniu protestanckim i w znajomości trzech języków, któremi w owym kantonie mówią. Dziecięciem wysłano go, sposobem Gryzońskim, bez pieniędzy ale opatrzonego listami rekomendacyjnymi w świat, żeby się kształcił na cukiernika.

W Berlinie był u Spardanapaniego, ale tam zamiast usługiwać gościom, piec placki i obwiązać karmelki, wołał młody Antoni Costello czytywać gazety i pisma peryjodyczne, gapić się na przechodzących po ulicy *Unter den Linden* i rozmawiać z gośćmi. Spardanapani nie mogąc z Costello zrobić nic porządnego, posłał go do pana Prevosti do Poznania z prośbą, aby go ten wziął pod swój dzielny rygor. Costello nauczył się mówić po polsku, nie pilnował służby, i zawsze jeszcze czytywał gazety. Aby go od ostatniego nałogu radykalnie wyleczyć, pan Prevosti posłał Antoniego do zakładu starego, pocztowego Semadiniego, teraz w Łomży cukiernią posiadającego. Młody Costello jeszcze się lepiej wyuczył po polsku; gazet nie czytał, ale, służby

nie pilnował i sztuki cukierniczej nie pojmował. Porwała go nareszcie w Warszawie tęsknota do rodzinnego kraju, sechł i cierpiał i byłby umarł, gdyby go ziomkowie nie byli odesłali do Coira. Tam się zaznajomił z pewnym bogatym Anglikiem, który odgadł młodzieńca wyższego ducha,łożył na wychowanie jego w szkołach, a potem w uniwersytecie w Zurich, gdzie się kształcił na lekarza. Zostawszy doktorem młody Costello, zwiedził jeszcze przez dwa lata najslawniejsze wszechnice Europy, a potem osiadł w Londynie, i będąc przystojnym, ożenił się z angielską mieniułkią fortuny, ale piękną, młodą i dobrze wychowaną. Zdawało się, że przy protekcyi bogatego anglika, wszystko pójdzie jak najlepiej, ale, protektor umiera i spadkobierca nie odziedzicza współczucia względem protegowanego. Złe czasy nastaly dla doktora Costello, a złe czasy w Londynie! Boże zmiłuj się. Przepychał się, jak mógł przez życie, nie jednokrotnie walcząc z nędzą, familii zaś przybywało sposobem szwajcarskim prawie corocznie. Nie tracił odwagi, ani téż sumienia Antonio Costello, wiele przetrwał bardzo, ale nakoniec odwaga, czynność,

zdolność, ufność w Bogu, dzielnych ludzi przy-
mioty, zwyciężyły. Doktor Costello w dziesięć
lat po przybyciu do Anglii, w nagrodę zasług
położonych w niesieniu ulgi ubogim, i w skutek
uznania jego zdolności i wiadomości lingwisty-
cznych, został mianowany dyrektorem dyspen-
saryjum dla majtków i ubogich, zwłaszcza cudzo-
ziemców, założonego obok przystani Londyń-
skiej. Otrzymał piękne mieszkanie, i 200 funtów
szterlingów rocznej pensyi, zyskał potężny punkt
oparcia dla losu swojego. I dalej dał sobie radę,
bo przemysłowa tęga głowa tkwiła mu na kar-
ku, umiał biec upleść z piasku, nie odstępując
od wrodzonej Szwajcarom rzetelności ani na li-
nija. Z powodu urzędowania swojego w ciągłej
pozostawał styczności z cudzoziemcami wszel-
kich narodów, i musiał wypatrzeć dobre przy-
mioty każdego człowieka. I tak poznał się
z pseudo-doktorem Johannsky, kosmopolitą na
polaka przeistoczonym, czyli raczej posuniętym.
Zatrudnił go, dał mu sposób do życia, i sobie
tem zrobił bardzo dobrze, bo go nękała nie-
zmiernie owa mechaniczna praktyka z ludźmi
prostemi, na których wszystko, co niebardzo nie-

stosowne, działa jednakże nie źle, byleby z dobrem uczciwem sercem dane było; a nie pomaga mu wykwińtości, woskowane podłogi, muslinowe firanki, gdy tylko dla dogodzenia własnej próżności pożyczane.

Otóż takim był doktor Costello, przykładny ojciec, wychowujący dzieci swoje w pobożności, pracy, nauce i w dobrym bycie; sumienny obywatel, bo zmierzał do zdrowia, religii i oświaty ludu w pismach i czynach swoich; wyborny człowiek, bo czule kochał dzieci wszystkich krajów, w których kiedyś jadł chleb; a przyjaciel i kolega — Boże daj wielu tak wesolych, gościnnych, starających się o dobro tych, z którymi lubił przestawać. Ale to najlepiej dalszy ciąg tego rozdziału wykaże, jakim był przyjacielem doktor Costello.

II. Doktor Suchoćnik.— Doktor Skrzypek.— Doktor Szewc.— Doktor Komiwojażer.

Deszcz pluskał po ulicach Londynu nie strumieniami, lecz siatką ciągłą, bezustanną, nudną i mialką, i strącał z powietrza na twarz i bieli-

znę londyńczyków subtelne a gęste i czarne atomy owego niepozostawiającego dymu węgla kamiennych, co to smolą, źle pachną i płuca do kaszlu pobudzają. Ciemno, lubo światło gazu wesolo błyskające pali się w latarniach i w licznych bramach dzielnicy Leicester. Krzyku, hałasu nie braknie jednakże, bo to wieczór sobotni, dwakroć sto tysięcy ludu londyńskiego nie wie co będzie jutro jadło na śniadanie i tuła się po ulicach by co sprzedać z towarów drobnych, by co wyżebrać a przynajmniej ukraść z kieszeni obwarowanych przybysza, gapiącego się z otwartą gębą, z otwartymi oczyma i z otwartymi kieszeniami.

A na trzecim piętrze jednej z ulic téj saméj dzielnicy, w pokoju tylnym, dokąd żaden hałas ulicy nie dochodzi, siedzi młoda kobieta i pięciu mężczyzn nie starych. Kobieta miała niebieskie oczy, zapuchłe powieki, twarz białą, bladą także obrzmiałą i włosy jasne. Blade źrenice zatapia w mężu swoim, siedzącym w szlafroku, w fotelu poduszkami wysłanym; a ten mąż był człowiekiem zaledwie trzydzieści kilka lat liczącym, wychudłym, wynędzniałym, na policzkach jego

wypieka rumieniec, w oczach płacze smętność i jaśnieje ogień, w pięknym czole czuwa rozum, w ustach zawsze jeszcze słodycz i ujmującej dobrotności rysy. Przenikliwy fizyjonomista odgadłby od razu, że ten człowiek musi umrzeć wkrótce, że wie co go czeka, i że jeszcze zajmuje się losem i sprawami tych, których na świecie pozostawia.

Tak też było w istocie. Ten człowiek żył zawsze rozumem, wiarą i sercem jednakowo dzielnie, cierpiał od dawna, działał dla dobra ludzkości od dawna, a karmi się nadzieją lepszego bytu dla pozostających, od czasu, jak się widzi umierającym, i gdzie tylko może, czuwa nad ich losem.

Tym człowiekiem był doktor Julijusz Rata, i on przemawiał właśnie w tej chwili do najmłodszego wiekiem z mężczyzn tego towarzystwa, młodzieńca zaledwie dwadzieścia kilka lat liczącego, rumianego, bystremi strzelającego oczyma, z czołem śmiałym jak wodospad, a z włosami gęstymi wybujałymi jak las dziewiczy.

— Więc powiadasz kolego Teodorze, że bie-

dny Jan Alcy plakał, gdyś mu robił operacją?—
spyta doktor suchotnik.

— Nie! podczas operacji nie plakał, trzymał się ostro, i dopiero zaplakał, gdym mu po operacji (bo nie miał ani grosza w kieszeni) na lekarstwo i pokarm pożyczył kilka szylingów, — odrzeczł młody doktor Teodorem nazwany. „Rozczulił się biedny pacjent, i mówił szlochając: zamiast ja ciebie wynagrodzić za podjęte trudy, to ty mnie żywisz!” Biedny Alcy, on tak zwątlony długimi cierpieniami, ale teraz wszystko pójdzie dobrze, tylko palca tego operowanego, nigdy już nie będzie mógł zgiąć, to już darmo.

— Nie będzie nigdy wojował mieczem Jan Alcy, tylko piórem i radą,—odpowiódł doktor suchotnik, „a byłby umarł z bólu i gorączki, gdybyś go nie był operował: Ocaliłeś mi przyjaciela, Bóg ci zapłaci przyjacielu, podaj mi dłoń, nie mogę jój ścisnąć tak serdecznie jak cię serdecznie kocham, ale sił niedostaje; niknie w ciebie moc, ale w duszy taż sama jak kiedyś była w stanie najzdrowszym ciała.

W postawie, w twarzy, w oczach żony suchotnika żadnej odmiany, ale jój dusza jękla, jękla tak cichym a donośnym płaczem, żeśmy wszyscy potruchleli, a wszyscy, bez wyjątku, byliśmy lekarzami, i do widoku rozrywających cierpień przywykli.

Oh Boże! jak mi żal było téj kobiety, patrząc się na zgon męża takiego szacunku godnego.

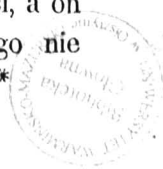
Mąż także zadrzał, ale zaraz się pomiarkował, wdzięczném okiem spojrział na żonę, i dalej pytał młodego doktora:

— A co robi Aweyd?

— Nie dobrze z nim mój Julijuszu, jeżeli tak dalej pójdzie, to niezawodnie wpadnie w tyfus, głowa zajęta głuchym bólem, gorączka w ciele, niesmak, niestrawność, dręczący smutek, myśli rozpaczliwe.

— Oho niedaleki od tyfusu, — powie z żywością doktor Rata.... „na Boga zakaż mu pracować w téj przeklętój fabryce cynku, która nas tyłu pozbawiła kolegów, i daj mu lpekakuannę.”

— Jedno i drugie zrobiłem, ale, czyż on może wypełnić pierwsze? żona, dwoje dzieci, a on płacony od godzin pracy, zasobu żadnego nie



posiada, i chleba powszedniego w domu zabraknie, gdy pracować przestanie. Na Boga, on odwieść się nie da i pójdzie jak ten koń pocztowy, aż padnie; wiesz przecie jak jest zaciętym, wiesz że życie byłoby dla niego okrutnym ciężarem, żeby na nim ciążyła najmniejsza odpowiedzialność za byt osób od niego zależnych; a w śmierci taki człowiek czynu, dopiero uwierzy po zgonie.

— Niestety! tak jest jak mówisz, tak jest a nie inaczej; wpędzi się biedak w tyfus, i pewno nie wyjdzie z niego, bo za nadto osłabiony. Tak zginie marnie człowiek świetnych zdolności, który się trzy lata temu, będąc rannym, i w szpitalu, nauczył z biblii poliglotycznej czterech języków, i to w ciągu półroczka. Szkoda że mu znajomość języków chleba dać nie mogła naukowo, ale on za nadto niecierpliwy na nauczyciela; dała mu jednak ta znajomość lingwistyczna sposób utrzymania się praktyczny; potrzeba było tu w Londynie w walcowni cynku pana Steinkeller contre-metra kilka znającego języków, bo tam pracują tylko cudzoziemcy wszystkich narodowości, najtańsi, najniezszczęśliwsi jakich zebrać było można w Londynie. Uzyskał to miejsce

Aweyde, i teraz siedmnaście godzin na dobę, przepędzać musi w atmosferze okropnie rozgrzanej i zabijającymi wyziewami przesyconej. Za to zarabia na tydzień funt szterling to jest złotych polskich 42. Już i tak więcéj jak od roku mogli się biedny chłopak, do którego zjechała żona z dziećmi, i paść musi ofiarą gorliwości swojej. Szkoda nas, doprawdy, doda biedny suchotnik z rozczuleniem; życie nasze tak wątle tu na cudzej ziemi, tak mało mamy środków oparcia się śmierci, ciągle na nas dybiącej tu w téj niegościnnéj Anglii. Widziemy ją przed sobą wyraźnie brzydka, grożąca, a wyminąć jéj nie można, tylko w jéj puszcze wchodzimy grzecznie i potulnie jak owce do owczarni. I tak jeden po drugim z czynnych, walecznych, pracowitych, w krótkich odstępach znika w otchłaniach obcej ziemi.

— Smutne to przepowiednie, niezmiernie smutne, mój drogi ale za nadto hipokondryczny kolego; jeszcze i twoja i Awejdy śmierć daleka, może jeszcze mnie młodszego od was, i niedawno w Londynie bawiącego, przeżyjecie,—odpowiadam zwątpiałemu koledze.

— I to być może, mój Teodorze, bo ty także postępujesz, jak gdyby śmierci nie było na świecie, pędzisz piechotą i lekko ubrany, z jednego końca Londynu na drugi, na czezo z domu wychodzisz, i chłoniesz w siebie owo powietrze zimne, wilgotne, surowizną cuchnące, możesz bardzo łatwo dostać zapalenia płuc, i — umrzeć w paru dniach, jeszcze nim mnie i Awejdę Bóg powoła do siebie.

— Darmo, cóż mam robić mój Julijuszu, odmówić nie mogę choremu ziomkowi pomocy, o to jeszcze i Olsz i Fink passujący się z bolesnemi chorobami, a wyręczenia ze strony innych zdrowych kolegów lekarzy nie doznają żadnego.

To przemówił doktor T. z żywością, zwracając się do trzech mężczyzn obok kominka siedzących, i dotąd żadnego udziału w rozmowie nie biorących.

Wszyscy trzej byli wysokiego wzrostu i tegoż samego prawie wieku, mógł mieć każdy lat ze trzydzieści kilka. Jeden z nich chudy z włosami jasnemi krótko strzyżonemi a kędzierzawiacemi się jednakże, czoło miał pojęciem, oczy bystrością błyskające, twarz śniadą, ruchliwą, głębo-

kiemi i gęstemi zmarszczkami przedwcześnie zoraną.

Tym jegomością drażliwym, ruchliwym, przytomnym i niezmiernie wygadany, był właśnie pan Benio, także doktor Wileński, niegdyś sztablekarz i dobry lekarz; ale skrzydłom duszy doktora Benio ciasna atmosfera medyczna, nie wystarczała na rozpięcie się; doktor Benio wziął się do pisania dziennika dla wyrobników, rozumie się *gratis*, przytem do publicznego wykładania nowego przez siebie wynalezionego systemu mnemotechniki, rozumie się także *gratis*. Z czegoż tedy żył doktor Benio, kiedy ciągle pracował *gratis*? Wiemy, że częstokroć *szczytność* dotyka się *śmieszności*, niestety i tu tak było: świetny doktor Benio zarabiał sobie na chleb powszedni, szyciem trzewików damskich dla arystokracji angielskiej, której powagę piśmami swojemi starał się osłabić.

Więc tedy jego trafił, zdaje się najboleśniej, wyrzut zrobiony przez doktora T. trzem kolegom, wszyscy bowiem byli doktorami.

— Powiadam ci doktorze T. po raz dziesiąty czy dwunasty, daj mi święty pokój z praktyka

lekarską, rozbrat wziąłem wieczny i stanowczy z poziomą medycyną od czasu, jak się przekonałem o większej skuteczności oświaty na szczęście i zdrowie człowieka. Niech wprzód będzie lepszym, wówczas mniej będzie cierpiał, a oświata zrobić go musi lepszym; pamięć jest spichlerzem umu, ja zaś poświęcam się na to żeby tę pamięć stosunkowo małym wysileniem, w każdym człowieku wzbudzić, zaostryć i wzmocnić. A jak się zmęcę mnemotechniką i dziennikarstwem, wówczas dla odpoczęcia, i żeby z głodu nie umrzeć, szyję trzewiki; Jan Jakób Rousseau przepisywał nuty; szyć trzewiki to rzecz jeszcze mniej mechaniczna, więcej urozmaicona. Tedy proszę mi dać święty pokój, nie jestem już lekarzem, niech sobie nim będą inni po poziomie czolgać się lubiący.

Tak odpowiedział nieubłaganie i uszczypliwie doktor Benio, słynny z złośliwości języka.

— Tego człowieka nie przekonam ani nie uproszę, — rzecze zgorszony doktor T. „bo jego serce utonęło w dumie, zarozumiałości i ślepej ambicyi; ty wolisz nauczać, poprawiać, jak leczyć chorobę i życie ocalać? Nieprawda! ty

poprostu przenosisz nadzieję sławy bez wysilenia nabytėj, nad owe tkliwe i ciche zadowolenie serca, które lekarz biednych z tak niewypowiedzianym mozolem zdobywa. Ale ty doktorze Szczap, ty masz tak dobre, szlachetne serce, dla czego odstępujesz medycyny, którą już w Wilnie zaszczytnie dałeś się poznać, którą później w Szwajcaryi zdobyłeś prawo obywatelstwa i wdzięczności tylu ludzi. Czemu teraz odstępujesz od medycyny, kiedy tylu chorych pomiędzy naszymi przyjaciółmi?

Kolega, do którego się doktor T. tém pytaniem zwrócił, twarz miał sławiańską, szlachetną i regularną, włosy i oczy dość ciemne, postawę silną i kształtną; ale niezmiernie wiele smętności na jego twarzy, świadczyło o doznanych i jeszcze uczuwanym cierpieniach.

— Teodorze, już nie nalegaj nigdy, już ja nie wierzę od dawna w skuteczność téj sztuki, która nie zdołała ocalić najlepszej przyjaciółki mojej; aniola pocieszyciela tylu stęsknionych, biednej hrabiny Klaudyi. Kto jój długich cierpień był świadkiem, i tak długo nadaremnie przyzywał wszystkich środków lekarskich skuteczności, ten

musi zwątpić o sztuce lekarskiej, przekląć naukę tak mozolną, tyle obiecującą, a tak mało dotrzymującą. Nie wierzę już w medycynę, i leczyć nie może *ten*, który w nią wiary nie pokłada, to nie sposób. Czy ja nieudolny, czy sztuka nieskuteczna? nie wiem tego; ale dość, że się w moich rękach okazała tak często zgubną, że jój się wyrzec musiałem, jako czegoś niebezpiecznego, zwodniczego, chimerycznego. I wszystkich się korzyści zdobytych medycyną wyparłem w chwili śmierci anioła, którego sztuka lekarska utrzymać nie zdołała dłużej przy życiu; nie jestem już doktorem, nie jestem już obywatelem szwajcarskim, nie jestem już właścicielem; majątek swój sprzedałem i pomiędzy ubogich, jak wiecie, rozdałem; a teraz zarabiam sobie na chleb codzienny rzempoleniem na skrzypcach po salach tańca, na weselach i obiadach, wszędzie gdzie mnie tylko zawezwą. Wierzę w skuteczność radości na zdrowie; lecz nie wierzę w skuteczność mikstur i pigulek; przeklinam medycynę, nie pojmuję jak jój zaufać można, ale wam zazdroszczę, którzy w niej pokładacie zaufanie. Wywiązuje się Bogu i ludziom wielką wdzięcznością za tę wia-

rę w *naukę*, która nią nie jest, a mnie dajcie święty pokój, wołę ci doktorze płacić co miesiąc funt szterling na doróżki, abyś mnie tylko nie nagabywał o mieszanie się w obrzydliwe wykonywanie sztuki przez szarlatanów i wizyjonaryjuszów wymyślonej. Niech to będzie po raz ostatni o-tém mowa, mój dobry koleżko! nie zakrwawiaj mi więcej serca powoływaniem mnie do powinności, których pełnić nie mogę.

Tak mówił z wyrazem twarzy smutnym i blagającym doktor Szczap, a doktor T. nie śmiał dalej nalegać, tylko zwrócił oczy swoje bystro i wzywająco na czwartego kolegę, w piękne suknie przybranego, głaszczącego ciągle to swoje włosy i faworyty (wąsów nie nosił, bo w Anglii zaden elegant wąsów nie nosi) to kapelusz kaistorowy, to otrzepywał z kurzu buty swoje starannie także lakierowane, i przeglądał się w nich jak w zwierciadle. Jegomości tego ciemnowłosego i ciemnoocznego rysy dość piękne, ale powieki górne ociężałe i wargi wywrócone nieco z *hebrajska* dowodziły, że jest w jego żyłach jakiś ferment starożakorny, może w czwartem lub piątym rozcieńczeniu, ale jeszcze wcale wy-

rażny i utaić się nie dający żadnym sposobem
Twarz jego okolo ust pysznie sfaldowana po obu
stronach, wyrażała dumę, ale niską dumę, dumę
z tego że on był wykwintnie ubrany a my nie;
że u niego wiele pieniędzy w kieszeni, a u nas
nie. Czasem nawet z pogardą na nas się patrzył,
jak mu przyszło na myśl, że my w pocie czoła
pracować musimy i z biedą walczymy, a on, że
dobrze je i pije i bawi się, i nie uciążliwie pra-
cuje, tylko po wszystkich hotelach wszystkich
nowo-przybyłych odwiedza gości, pod tytułem
i nazwą *doktor de Konar*, i sławi im wina por-
tugalskie i hiszpańskie pryncypała swojego, któ-
rego jest komiwojażerem, i prosi o komis jaki,
obiecując, że bardzo będą zadowoleni z towaru,
bo on, jako doktor, umie wybierać wina. A ci
panowie ujęci przystojną miną, dystyngwowa-
nemi manierami, tytułem i narodowością dokto-
ra-komiwojażera, dają mu znaczne obstalunki, a
on zarabia dziesięć na sto z każdego obstalunku,
i funty płyną mu miło w kieszeń. Do tytułu zaś
doktora medycyny przyszedł w Wrocławiu w r.
1831, kiedy się zbliżała cholera, i kiedy u nas
brakło lekarzy; mówią, że kto inny za niego egza-

men składał, i ja prawie temu wierzę, bo dali-bóg i usposobienia umysłowe tego kolegi nie tchną uniwersytetem, a z medycyny nic nie zna wcale, utnij głowę nic nie zna, mniej jeszcze od Johannskiego.

— A ty kolego Konarski, nie raczysz mnie czasem wyręczyć? Cóż do diabła, jeżeli który, to ty powinienes mieć litość nad choremi ziomkami, masz tilbury pryncypała twojego na rozkazy, wina tyle ile chcesz, a pieniędzy tyle że już ażiotujesz na bursie; dalej, dalej, widziałem cię wczoraj ażiotującego, nie wypieraj się.

— Jak Boga ukrzyżowanego kocham, — od-rzecz doktor Konar, który nawiasem powiedział-wszy, miał zwyczaj przysięgać się zawsze po chrześcijańsku; żeby tém, ile możliwości stłumić w pamięci własnej smutne wspomnienia o przy-mięszaniu starozakonném we krwi. „Jak Boga ukrzyżowanego kocham: ja najchętniej służę ka-żdemu koledze rodakowi w chorobie i biedzie cierpiącemu, służę radą i czynem; Jezus! Maryja! wszyscy przecież wiedzą, że moja ręka hojna jak słońce. Ale cóż, kiedy—kiedy szanowni ro-dacy, przysięgam wam na rany Boskie, cóż, kie-

dy we mnie nie pokładają zaufania, nigdy tego nie wykonają co im radzę, i jeżeli na chorobę zapadną, to dla tego tylko po mnie posyłają, żeby odemnie wylgać pieniędzy, przysięgam Bogu. Otóż nie ma temu tydzień, posyłają po mnie bracia Kirk razem mieszkający, i na jedną i też samę chorujący chorobę. Zimno u nich było jak w psiarni, od kilku dni nie palono tam już w kominie, a dywana żadnego na bosój podłodze, Jezus Maryja! gorączkę mają wściekłą obaj bracia, ból głowy, oczy zapalone *et obstructionem* od *quinque dies* trwającą. Ordynuję puszczenie krwi i miksturę *eccoproticam* z jalappą, aloesem, manną-kalabryną, senesem i rumbabarum. „Zaraz mi posłać po lekarstwo i po cyrulika! krzychałem bojąc się żeby mi bracia Kirk pod ręką nie umarli. Konsyljarzu! rzuć do mnie przyjaciel, który ich pilnował, pożycz grosiwa, bo go chorzy owi ani na lekarstwo ani dla cyrulika nie mają, na pierwszego ci oddadzą, za to ci ręczę.

— No! a jeżeli umrą przed pierwszym? jakże będzie? — zarzucilem, a ten kolega odrzekł, że kto ma tak dobrego doktora jak ja, ten nie umrze tak łatwo, i ja też pożyczylem całego pół

suwerena. Kolega poszedł, a ja ziałłem nielitościwie, kolega poszedł i za kwadrans przypro-wadził i przyniósł, myślicie może, że cyrulika lub miksturę, a broń Chryste Boże, przypro-wadził węglarza z ćwiorcią węgla, traktyjernika z dwoma ogromnemi porcyjami befsztyku i garcem por-teru; a sam pod pachą przyniósł mój kuferek z dwunastu półkwaterek próbkami Xere-su, Malagi, Madery i Oporto, zostawiony na dole w moim tilbury. Najprzód tedy chorzy wypili próbki z winem, potem zjedli befsztyk, a nako-niec wypili porter w moich żywych oczach. Ot piękny zaszczyt dla mnie, który im kazałem krew puścić i wziąć miksturę przeczyszczającą? Nie koniec na téj klęsce. Kolega ich pilnujący, roz-niecił tymczasem ogień, a ja skostniały, nie mo-gąc na nogach ustać z zimna, wpakowałem no-gę tak blisko ognia, że mi się buty wodotrwałe, kosztujące mnie funt szterling spaliły, przysię-gam na honor i na Matkę Boską Częstochow-ską, że mi się but wodotrwały *waterproof*, ko-sztujący funta szterlinga, spalił.

— A czemuż się nie mógł spalić, przecież nie był ogniotrwały, tylko wodotrwały, — zauwa-

żył doktor Rata, który chociaż chory, prawie umierający, nie zaprzestał być logicznym, a nawet dowcipnym.

Wszystcyśmy się uśmieli serdecznie z kłęski doktora Konar, i z uwagi zrobionój przez naszego poczeiwego doktora Rata, a Konar z udaną dumą, starał się zamaskować swój gniew i ambaras.

— I ja, takiego doznawszy afrontu, nie wróciłem więćej do chorych, zapewnie musieli umrzeć w skutek takiej dyjety, wprost przeciwnój wszystkim regułom prawa fizyologicznego, żał mi ich na honor i rany Chrystusa Pana! rzecze doktor Konar.

— Nie bracie, pociesz się, — odrzekł koledze doktor T. zaraz po twoim wyjeździe wstali, i wyzdrowieli najzupelniej. Widzisz, ci biedacy od trzech dni nie jedli, nie pili i nie mieli ognia. Stąd gorączka i ból głowy. Trzeba było pokarmu, a nie upuszczenia krwi i mikstury osłabiającej. Byłbyś ich zabił, żeby byli wykonali radę twoją, a tak ich ocaliłeś, nie naumyślnie wprawdzie, ale zawsze zdobyłeś sobie tém zasługę przed Bogiem i Panną Maryją.

— A niech ich diabli porwą siarczyste, bądźże mi tu lekarzem, wolę pozostać handlarzem wina, a żadnym lekarzem, pfy, — powie doktor Konar, i zgniewany wynosi się z pomiędzy nas.

I my też wszyscy rozeszliśmy się, zaprowadziwszy doktora suchotnika na łóżko.

Otóż co się działo na trzeciem piętrze jednego z domów w dzielnicy Leicester, w kilka miesięcy po mém przybyciu do Londynu.

III. Niemieccy doktorowie, i Francuzki doktor w Londynie.

Coś we dwa, czy we trzy miesiące po ostatniej scenie, gdy słońce łaskawiej świeciło nad widnokrzem Anglii i Londynu, kilku członków klubu zagranicznych lekarzy, zebrało się w miejscu posiedzeń niemieckich uczonych na *Princess-street* w Tawernie pana Beuerle, traktyjernika i kuryjera króla Hanowerskiego, a zebrało się na sprawienie pożegnalnego obiadu doktorowi Kratz, wychodzący niemieckiemu z Nassauskiego, który dążył do Algierji aby tam mierzyć

się z Beduinami, Kabailami i z klimatem jeszcze więcej srogim.

Doktor Kratz młody, silny, zdrowy, wysoki, nadzwyczaj przystojny, czystej i dobrej rasy Germanin, dobry lekarz i zacny kolega idzie do Algierji szukać wrażeń, których nie znalazł w tułactwie, dla tego może, że go okoliczności majątkowe w korzystniejszym postawiły położeniu od innych. Ojciec dosyłał mu co miesiąc piętnaście funtów szterlingów; Kratz nie mogąc użyć biedy tułacza, chciał widać zakosztować niewygód wojskowego życia, i jedzie na wyprawę przeciw Kabailom Jurjury.

Do niego zupełnie podobny urodą, wzrostem niskim, jest tutaj przyjaciel jego doktor filozofii i medycyny hrabia Reichenbach. Trudno widzieć dwóch podobniejszych i więcej się kochających młodych ludzi; zawsze są razem i ciągle tęsknią do siebie. Prawda, że ten węzeł przyjaźni ścieśnia jeszcze młoda hrabianka Reichenbach, siostra doktora medycyny, bawiąca przy nim, osoba młoda, wesoła, cudnie piękna, nadzwyczajnymi zdolnościami obdarzona, ale, niestety! za nado egzaltowana; bo woli tułackie życie pro-

wadzić z bratem swoim, jak siedzieć w domu ojca, który jest ministrem księcia Anhalt-Dessau, jedynym ministrem drobnego ale udzielnego państwa.

Hrabianka ma pójść za doktora Kratz, już wszystko przygotowane było do ślubu, ale coś nagłego zachodzi w położeniu młodych ludzi, węzły się targają, rozstają się przyjaciele, kiedy zdawało się, że już ich nic rozłączyć nie może. Każdy dążył w inną stronę. Doktor Kratz jedzie do Afryki, hrabia Reichenbach do Ameryki, a hrabianka wraca do Niemiec; nas wszystkich niemal owe rozstanie się dziwi, jeszcze więcej rezygnacja młodych ludzi, którzy dotąd nieprzerwanie przez pięć lat ani na chwilę się nie rozłączali, i ciągle pod jednym dachem mieszkali. Teraz mówią o tém rozłączeniu, jako o konieczności smutnej ale nieodzownej.

Musi w tem być jakaś tajemnica, i kto wie czy jój nie zgłębimy.

Jeszcze inny doktor medycyny, Niemiec, bawił tu z nami w klubie uczonych. Był to mój dobry przyjaciel Ernest Dieffenbach, jeden z najdzielniejszych ludzi, jakich w życiu swoim zna-

łem, a przytem naiwny jak dziecko, często prawdziwie komiczny, do tego stopnia był oryginalnym we wszystkim co mówił i myślał.

Jest i francuzki lekarz, znany w świecie uczonym doktor Berryer Fontaine, ten sam, który zarazem z Marrastem, Gotfrydem Cavaignakiem, Thomasem, z tak wielkiem niebezpieczeństwem życia uszli z Sainte Pélagie, i schronić się zdołali do Londynu. Doktor Berryer Fontaine, człowiek już czterdzieści kilka lat liczący, znalazł u licznych Francuzów Londyn zamieszkujących, serdeczne współczucie, dobrą ma w Londynie praktykę i piękne dochody.

Był na tym obiedzie i doktor Costello, i ja, i doktor Benio, któregosmy nigdy nie zapominali zapraszać, kiedyśmy się w imieniu nauki z przyjaciółmi zbierali; bo lubo nie raczył wykonywać sztuki lekarskiej, za poziomój na skrzydła jego szczytnój duszy, jednakże wierzył w skuteczność téj nauki, nie przestawał się zajmować jój postępem i wybornój rady był człowiekiem w towarzystwie uczonych. Doktor Szczap nie chciał uczęszczać na posiedzenia nasze, Rata nie mógł, a Konara my znów nie chcieliśmy, bo zanadto był

zarozumiałym, chępliwym i niedorzecznym, a nie pojmował do jakiego stopnia umiał stawać się nieznośnym ludziom ceniącym czas i słowa.

Siedmiu tedy doktorów zasiadło do obiadu: trzech Niemców, dwóch Polaków, jeden Francuz i jeden Szwajcar; i w siedmiu lekarzy bawiliśmy się tak wesoło, jak się może jeszcze pod żadnem niebem nie bawilo tylu medyków razem. Ale wszyscy byliśmy cudzoziemcami, losem tutaj zarzuconemi; kochaliśmy się i cenili szczerze. Rozmowa toczyła się ogólna, ale zwyczajem uczonych cudzoziemców, rozmaitemi językami. Jednak się wszyscy zrozumieliśmy, i w niebezpieczeństwo mularzy Wieży Babilońskiej nie popadliśmy, bo każdy znas kilkoma mówił językami. „Co język, to człowiek,” twierdził Karol V, taką nas miarą licząc, reprezentowaliśmy z jakie pięćdziesiąt ludzi; szczęściem, że nie tyle apetytów, boby była kassa nasza nie starczyła na zaspokojenie ich.

Wiele mówiono o stanie medycyny i chorób w różnych krajach, o nowych odkryciach, wynalazkach i dziełach, o dzielnych mężach na tę ważną gałąź nauki, tak jasne rzucających świa-

tło; nawet się zniżono do mówienia o szarlata-
nach, chcących leczyć wszystkie choroby jednym
środkiem, aż nam się na języki dostał pan *Mor-
risson* z pigułkami swojemi, w barbarzyńskich
zaułkach świata tyle wziętości mającemi.

— Otóż przyznajcie kochani koledzy, piękny
musi być stan medycyny naszej *wykonawczej*, i
śliczny musi być stan mądrości ludzkiej tyle sław-
wioniej, kiedy taki szarlatan posiada z milion do-
chodu rocznego, i wielki pałac na jednej z głów-
niejszych ulic Londynu, na którego facyjacie
wypisany wielkimi jak szubienice zgłoskami:

*„Zakład panów Morisson, w którym się wy-
rabiają sławne pigułki Morisonскими zwane, a
wszystkie choroby wewnętrzne i zewnętrzne jak
najdoskonalej leczące. — Rząd Jej Królewskiej
Mości Wielkiej Brytanii gwarantuje skuteczność
pigulek, pieczęcią na każdym pudełku wybitą.“*

— Otóż mi mądrość, oświata i zacność me-
dycyny, i wartoż ją wykonywać w podobnym
społeczeństwie? — krzyknie z zwykłą sobie ży-
wością doktor Benio.

— Ja znam inne miasto stołeczne, niezaprze-
czenie oświecone, w którym owczarze, magne-

tyzery, żony mistrzów, konowały, zażegnywacze i perscy lekarze wielkiem się cieszą powodzeniem, a jednakże w tém mieście żyje z dwustu lekarzy egzaminowanych i uprzywilejowanych! — zarzuci jakiś z obecnych lekarzy, podobno doktor T....

— A to już albo medycy nie muszą dbać o swój honor, albo szarlatany, zażegnywacze, magnetyzery i owcarze więcej muszą mieć rozumu od lekarzy! — odeprze doktor Benio.

— Ale podobno pan Morisson i współka ofiarowali jakiemuś doktorowi polskiemu trzysta funtów szterlingów rocznej pensyi za ułatwienie im korespondencyi z wschodem i za uświęcenie ich szarlataneryi poważnym w świecie tytułem doktora? — spyta doktor Berryer-Fontaine.

— Ale ten doktor, lubo walczył z nędzą i sła-
biał na zdrowiu, odrzucił jednakże owo smutne posłannictwo i woli umierać w biedzie, niż durerzyć swych dalekich ziomków kłamstwami! —
odpowié ktoś, podobno doktor T....

— Djabie! to pięknie! trzysta funtów, to prawie ośm tysięcy franków: to grosz nadzwyczaj piękny. Winszuję doktorowi tak szczerze poj-

mującemu powagę swojej nauki, ale zapewne tym polskim doktorem nie był ani pan Konar., ani pan Johannski? — rzecze z przygryzkiem doktor Berryer-Fontaine.

— Że nim nie był ani jeden ani drugi, ani z nas tu przytomnych polskich doktorów żaden, ani poczciwy melancholiczny Szczap., za to ręczyć mogę, bo tym i nieszczęśliwym doktorem był Rata..., dziś się wybierający na świat lepszy — rzekł doktor T...

— A więc niech będzie uszanowanym kolega Rata...! — rzecze z zapalem doktor hrabia Reichenbach — już pić za jego zdrowie nie możemy, bo ono na zawsze przepadło w trudach i mżożach sumiennie pojętego zawodu; ale wzniesmy toast ten i z rozrzewnionóm sercem wypijmy go: „Niech będzie zacnemu doktorowi Rata... lekką śmierć nań czyhająca! niech pamięć jego z serca kolegów nigdy nie wygaśnie! niech przyszła wdowa jego i potomstwo używają u jego kolegów i u jego ziomków tego szacunku, na jaki zasłużył sobie jój mąż i ich ojciec! Niech będzie pochwalon ten, który wynosić będzie u potomności, cnoty lekarza, w pełnieniu trudnych

obowiązków swoich zmarłego, i niech nam Bóg da podobny koniec!“

Wszyscy spełnili ten toast, i nie jedna lza spadła w kielich, którym go spełnialiśmy; a następnie doktor Benio.. i doktor T... uściskali serdecznie wznosiciela toastu. Potem nastąpiło milczenie, ale je wkrótce przerwał doktor Benio., w którego płodnym mózgu jedna myśl długo popasać nie mogła.

I tak wykrzyknął:

— *Suum cuique!* każdemu swoje, moi szanowni koledzy, dzięki składamy najszczerze za toast wzniesiony na cześć kolegi umierającego; ale oddajmy sprawiedliwość każdemu jeszcze żyjącemu. Doktor Konar... byłby także odrzucił propozycją panów Morisson: po co mu truć pigułkami daleki wschód, kiedy on truje winami alkoholem przesyconemi obywateli londyńskich, i za to dwa razy więcej zarabia? Proponuję, abyśmy wzięli w obronę nieobecnego kolegę, którego całą winą jest, że się tyle zna na medycynie, ile panowie Morisson; a który tę ma zaletę, że w losy zdrowia bliźnich się nie miesza lekarstwami, tylko napojami.

— Nie potępiajmy kolegi Konar, ale przywróćmy także sławę doktorowi Johannskiemu: i onby nie był przyjął miejsca ofiarowanego przez Morissonów! — rzecze doktor Costello.

— Wierzę bardzo, recepty napisać nie umie, prócz owych tuzinkowych w dyspensatoryjum cudzoziemskim; a na to najlichszy rozum wystarczy, kto tylko umie zliczyć aż do dwunastu i zna różnicę pomiędzy dziewanną a rumberbarum, ten może być wybornym lekarzem w dyspensatoryjum! — odpowie zawsze z cierpkością doktor Benio.

— Jakto? tak lichy rozum kolegi Johannskiego? a przecież to on redaguje pismo publiczne, niemalój sławy używające po bruku londyńskim, pod tytułem Satyrysty szelągowego? — rzecze doktor Berryer-Fontaine.

Wszyscy obecni lekarze zadziwili się i rozśmiali, doktor zaś Costello i ja zadrżeliśmy i spojrzeli po sobie pytaniem: „a cóż? czy zdradzona tajemnica?“

— Johannski redaguje Satyrystę szelągowego? o tém nie wiedziałem dotąd, choć go widuję po kilka godzin na dobę — rzecze Costello.

— Ani ja także! nie sądziliśmy go tyle zdającym — odpowiedzieli wszyscy prócz francuza, który rzekł:

— Przypadkowi winienem to odkrycie. Kilka tygodni temu, jednéj niedzieli, odwiedzałem ranną porą chorego rodaka w domu przy ulicy Holborn. Wychodząc z domu na dziedziniec, spostrzegam na nim cały furgon napelniony drukami, a na tym furgonie pana Johannskiego, rozdzielającego całemu półplutonowi ludzi po stosie ogromnym egzemplarzy pisma, znanego pod tytułem: „*the penny Satirist*“; egzemplarze jeszcze były wilgotne, a rozbiegały się jak na skrzydłach po wszystkich okolicznych ulicach, nawet czekało na nie mnóstwo ludzi przed biórem Satyrysty.

„A cóż to *mon cher Monsieur Johansky*, stałeś się na raz z pomocnika dyrektora dyspensatoryjum medycznego, propagatorem intelligencji, naczelnym roznosicielem Satyrysty?“ spytałem kolegi stojącego na furgonie, rozdającego stosy gazet roznosicielom, płacącym za to gotowemi pieniędzmi; a *nota bene*, trzeba wiedzieć, że sam pan Johannski powoził furgonem.

„*Che fous temante barton!* — odpowie pan Johannski — ja nie jestem obwozicielem, lecz odpowiedzialnym redaktorem tego pisma!

„Winszuję ci kolego, nie wiedziałem dotąd, że coś z pióra twójego spłodzone, warte jest druku, dalibóg nie wiedziałem!“ odpowiedziałem koledze Herkulesowi i odszedłem sobie. Otóż na tém fundując zdanie swoje, że i pan Johannski nie zechciałby być agentem morderczego pigularza, kiedy inny ma sposób do życia, zaiste więcej honorowy.

Tak mówił doktor Berryer-Fontaine, a doktor Benio z napiętą przysłuchiwał się uwagą słowom francuza, a gdy tenże przestał mówić, krzyknął z wściekłością:

— Jakto? ten chirurg pruskiej landwery, człowiek żadnym językiem poprawnie ani mówiący, ani piszący, ani myślący, miałżeby być redaktorem pisma, które mojemu „*Friend of workmen*“ najwścieklejszą robi konkurencyją? to nie sposób! nigdy temu nie uwierzę; a kolega, doktorze Costello, cóż na to powiesz? przecież go używasz za twójego *Alter ego* w dyspensatoryjum twójem, w którym dziesięcią ziółkami, szczęściem

sokami i tyłaz maściami, wszystkie choroby, jakie trapią biedną ludzkość naszą, leczyć? Cóż na to powiesz, że twój pomocnik redaktorem Satyrysty?

— Pierwszy raz o tém slysze, — odpowie z udaną spokojnością doktor Costello. — Wyręczam się panem Johannskim w dni powszednie, wcale się z tém nie taję, bo to się codziennie przed trzystu pacjentami, pomocy szukającemi w zakładzie naszym, odbywa. Ale w niedzielę zakład nasz zamknięty: ten dzień całkiem do pana Johannskiego należy, i Bóg raczy wiedzieć, co on wówczas z czasem swoim robi, bo ja, jako prawowierny syn wysokiego kościoła anglikańskiego, idę z żoną i z licznemi dziećmi mojemu do świątyni, i tam dziękuję Bogu za to co dał, i proszę, aby nadal nie przestawał udzielać tego co potrzeba. Nie spodziewam się jednakże, żeby pan Johannski, skromnych nader używający władz umysłowych, i przytém wcale niepiśmienny, był istotnym redaktorem jakiegokolwiek pisma; wprawdzie wcale nieznam szelagowego Satyrysty, i sądzić nie mogę o rzeczy téj z należyłą kompetencyją. Może to jakieś bardzo nędzne pi-

semko; może nareszcie pan Johannski z pomocą innych, mógłby się zdobyć na pisanie takiego brukowego dzienniczka dla prostego ludu!

— Nie sposób, nie sposób! — krzyknie znów gniewnie doktor Benio, wychylając z wściekłości kieliszek — Satyrysta jest pisany stylem rubasznym, koncepta jego często nadzwyczaj płaskie; ale jest w tém pisemku rozum i dusza, wyjawiające się wyraźnie nawet w niedorzecznych, oczywiście przez fakeyją jakąś zamówionych artykułach. A ten artykuł, toczący się w ostatnich numerach Satyrysty, o szkodliwości wódek wyrabianych z jakichkolwiek bądź substancyi, doskonały artykuł, przewyborny. Oho! jest tam mowa *ex professo* i o rumie z trzciny cukrowej, i o araku z ryżu i o palmowym i o winnym wyskoku i o dżinie z jałowcu, i o kirszu z czereśni palonym, i o kartofłowce, żytniówce litewskiej i śliwowicy węgierskiej. to nie lada pióro o tém pisało; a jednak przysięgłbym, że autor zalecający ludowi piwo i porter zamiast wódki, musi być placonym przez piwowarów, może przez samego Barklay i Perkins, których wyrób najwięcej zaleca, jako sporządzony bez żadnych narkotycznych

przypraw. Skąd autor tak obeznany z kartoflówką polską, żytniówką litewską i śliwowicą węgierską, tego dalibóg pojąć nie mogłem, musi to być jaki polak autorem tego artykułu, pisanego, jak mówię, z wielką znajomością rzeczy, ale w złym duchu, bo jedno złe zaleca w miejsce drugiego. Wódka mózg przepala: na to się zgadzam, ale piwo żołądek, trzewia i płuca zamula i mózgowi odbiera wszelką jędrność zdradziecko, chociaż wolniej jak wódka.

Ja śmiałem się w duchu do rozpuku, sam bowiem byłem autorem owego artykułu o wpływie wódek, który tyle zaintrygował doktora Benio, i ręczyć za to mogę sumiennie, że mnie żaden kuban Barklaya i Perkinsa do tego nie nakłonił, tylko wzgląd na dobro ludzi do tego pobudził. Ale tłumię śmiech duszy mojej i rzeknę najspokojniej w świecie do doktora Benio:

— Istotnie, kolego! mnie i doktorowi Dieffenbach wpadł w ręce numer szelągowego Satyrysty, w którym umieszczony był początek artykułu o wpływie szkodliwym wszystkich wyskoków na wszystkie zdrowia; i my tobie przypisywaliśmy autorstwo artykułu tego: taż sama w nim

dążność co i we wszystkich twoich dla wyrobników pisanych artykułach, też same w nim zasady, które w życiu obserwujesz: nie pijesz bowiem nigdy wódki, a piwa ani razu za kołnierz nie wylejesz; nakoniec w stylu też sama kwieciistość, prostota i nadobność.

— Masz tedy! milion kaduków, moje pióro kwitnie jak oset i pokrzywa: prostém jest jak piorun gzygzakiem z nieba spadający, a nadobnym jak wieloryb! Nie, moi panowie, ja nie mam zwyczaju kokietować z czytelnikami mojemu, jak dependent szlachcica z dziećmi i pieskami pańskimi, a tamto wyraźnie napisano z ową umyślną prostodusznością, z owém przymileniem, któremi, sił swoich niepewny autor, chce zjednać sobie, wyżebrać sobie serca czytelników. Pfe! jabym się miał zniżyć do takiego piśmiennictwa? wołałbym całe życie lekcje mnemotechniki bezpłatnie dawać.

— Albo też trzewiki szyć ladyskom za pieniądze, a lordom buty za darmo! — miałem już na języku, ale mi się żal zrobiło złośliwego ale uczonego kolegi, który pracować musiał w pocie czoła jako szewc, żeby mógł jako professor

i trybun ludu wprowadzać ambitne idee swoje w życie.

Więc tedy zaniechałem zemsty, poniekąd słusznój, a Costello starał się rozmowę odwrócić na inny przedmiot. Aleśmy tego dokazać nie mogli, Benio ciągle jeszcze chciał mówić o Satyryście, którego jako rywala swojego nie bardzo kochał, i dał słowo, że nie spocznie, dopóki nie odszuka prawdziwego autora owego pisemka, wdzierającego się płaskimi conceptami na poważne, czcigodne pole oświecenia ludowego.

— Muszę satyryście cios wymierzyć śmiertelny, i zaraz w najbliższym numerze mojej gazетки, dwa razy na tydzień wychodzącej, zawiadamiam publiczność, że autor artykułów o wyskokach w Satyryście umieszczonych, płatnym jest przez piwowarów londyńskich za chwalenie piwa kosztem wódki. Zapewnie się wyjawi autor rapsody i stanie w swój obronie: wówczas ja wypowiadam mu zaciętą walkę i nieubłagane łamię mu kark; a zaszę ci kochanku od nauczania ludu, już inni lepsi wzięli się do dzieła tego.

Mnie się zdaje, że doktor Costello stchórzył, bo bardzo litościwemi oczyma na mnie spojrział,

alem mu dodał odwagi szyderczém wstrząśnięciem ramion i uśmiechem, który znaczył: nie taki okrutny jak się zdaje: mam ja sposób na niego, tylko mu pod słowem honoru powiem, że to ja autor tego artykułu, a zaniecha wojny.

Nareszcie przecież wznowiono jakieś nowe zdrowie, pito je szampanem, i rozmowa zwróciła się od Satyrysty szelągowego na inne pole, daleko przyjemniejsze i bogatsze.

IV. Pokrewieństwo dusz.

Tak jest, rozmowa zwróciła się na coś daleko więcej uczuciowego. Żał nam było niezmiernie, że z grona naszego znika dwóch kolegów, tak miłych, dzielnych i uczonych, jak Kratz i Reichenbach. Doktor Berryer-Fontaine, orator, jakich pomiędzy lekarzami wielu nie znajdzie, wstał uproszony przez nas i w pompatycznej a czulej mowie pożegnał w imieniu naszym kolegów, z których jeden szedł do Afryki walczyć przeciw nieoświacie, a drugi dążył do Ameryki walczyć dla oświaty. Jak pięknie brzmi język francuzki w ustach francuza, od dzieciństwa nim przemawia-

jącego, od wieku młodocianego w krasomównstwie się ćwiczącego, o tém wiemy i w naszym kraju, do którego żywiołu francuzkiego cząstki wtargnęły od dawnego czasu. Berryer-Fontaine cenił wysoko opuszczających nas kolegów; przemawiał z zwykłą sobie godnością, jako prawy brat owego wymownego Berryer, który nieprzygotowany, nieprzerwanie przemawiać umiał na trybunie ludów przez godzin kilka w jakimkolwiek bądź przedmiocie, i oczarować uszy najtępszego kolegi, już naprzód przygotowanego, zakupionego na to, żeby rzucił galkę białą lub czarną w naznaczonej kwestyi. Lekarz francuzki umiał wzniośle, czule i z niezwykłą lekarzowi pozycją zapelnić próżnię, którą zostawia po sobie dwaj koledzy, tak się szczerze kochający, a rozbiegający się teraz opodal od nas, na dwa końce świata.

Wszyscyśmy się bardzo rozczulili, a szczególnie przyjaciele opuszczający nas: głębokie ich posiadło wzruszenie, spojrzeli na się, lzy wstąpiły im w owe jasne, wielkie, germańskie oczy, a krew ustąpiła z owych twarzy regularnych

i czerstwych, na których się niewinność, siła, rozum i szlachetność wyraźnemi rysami malowała.

— Widziemy przyjaciele, jak wam żal rozstawać się, czemu się tedy rozłączacie? czemu się oddalacie w tak odległe strony? a nas tu osierocacie? — pytaliśmy Augusta Kratz i Rudolfa Reichenbach.

Milczeli przyjaciele. Jeszcze raz spojrzeli na się pytającym wzrokiem, tak jak gdyby się wahali, czy mają odpowiedzieć na to pytanie.

— Jesteście tu pomiędzy szczerymi, dobrymi przyjaciółmi Rudolfie i Auguście, zwierzyć nam się możecie; może przyczyny skłaniające was do rozłączenia się i do wyjechania w tak dalekie strony są blahemi?

— O! nie są blahemi owe przyczyny, dla których się rozstajemy; dwaj przyjaciele, tak się oddawna i serdecznie kochający, od lat blisko sześciu nieodstępni na uniwersytetach i w tułactwie, tacy dwaj przyjaciele nie rozłączyliby się bez ważnych przyczyn, nie stargaliby węzła, który ich miał bliskim pokrewieństwem spoić! — mówił Rudolf, i po chwili namysłu, spojrzaw-

szy jeszcze raz na Augusta badającym wzrokiem dodał:

— Ale wy nie uwierzycie, gdy wam prawdę bez ogródki powiemy; wy nie uwierzycie, gdy wam przysięgniemy na Ewangelię i na honor, że..... — uciał Rudolf mowę i umilkł — a August rzekł uroczystym głosem, błędąc prawie.

— Tak, wy nie uwierzycie przyjaciele, gdy wam przysięgnę, że wyrok losu objawiony nam wyraźnie z woli Boga, skłonił nas do rozłączenia się i do spełnienia w Afryce i w Ameryce nałożonych nam przez niebo misyj.

— Tak jest, jak powiedział August — dodał również uroczystym głosem Rudolf — i abyście uwierzyli, więc w tej chwili rozstania, damy wam największy dowód przyjaźni, na jaki zdobyć się możemy, i opowiemy wam, jak się ta wola nieba nam objawiła. Jesteśmy pewni, że zaufacie szczerości słów naszych, jesteśmy pewni, że nas nie uważacie za wizjonaryjuszów lub ludzi ze schorzałym rozumem, poddających się ślepo jakiemuś mistycznemu usposobieniu, lub też że nas nie weźmiecie za łatwowiernych marzycieli. Słuchajcie tedy! to co wam powiem,

jest tak nadzwyczajnym, a zarazem tak tajemniczym, tak świętym, że możebym lepiej zrobić, żebym go nie rozgłaszał; ale gdy już raz wiemy i przekonani jesteśmy, że się dzieją na tym świecie cuda, czemuż nie mamy nakłaniać przyjaciół naszych tak ukochanych, do wiary w cuda, do wiary w szczególną łaskę Nieba, czasem się objawiającą cudownym sposobem ludziom w trudnych okolicznościach życia. Więc tedy opowiem wam w skróceniu, całej mojej przyjaźni z Augustem dzieje, niech służą za przykład i na zbudowanie ludziom dobrej wiary!

Jestem, jak zapewnie wiecie moi przyjaciele i koledzy, synem hrabi Waldemara von Reichenbach, który był jedynym ministrem jego księżęcej mości Leopolda Fryderyka, miłościwie nam panującego w księstwie Anhalt-Dessau, mającém rozległości 47 mil kwadratowych, a mieszkańców 65,000. Ojciec mój majątku nie miał, ale się ożenił z córką bogatego bankiera niemieckiego, którego nasz monarcha jeszcze przed ślubem ojca najlaskawiej mianować raczył baronem. Ojciec mój był od wczesnej młodości i przez całe życie dumnym, suchym, zimnym,

honorów i orderów łaknącym ministrem. Matka moja była dobrą, piękną jak bóstwo, mądrą jak genijusz, godną w postępowaniu i poważną jak kapłanka, a zawsze prawie smętną i słodką jak anioł śmierci. Wszyscy ją szanowali, wysocy i nisey, nasz książę ją uwielbiał jak wyrocznię, my jój dzieci, kochaliśmy ją z tkliwością, o jakiej wyobrażenia zrobić sobie, zupełnie nie sposób — tylko nasz ojciec zdawał się być obojętnym na wdzięki i cnoty naszej anielskiej matki, i postępował z nią niekiedy z niesłychaną bezsercowością, prawie ze wzgardą. Ach! my poznaliśmy jeszcze będąc dziećmi małemi, że ojciec nasz nie umie cenić matki naszej, myśmy cierpieli okropnie i łzami się zalewali, kiedy ojciec przyszedł gromić naszą matkę: nie wyrzutami w słowa ujętymi, lecz twarzą zimną jak jaszczurka, spojrzzeniami jadowitemi jak żądło zatrute węża. Myśmy wtenczas płakali i matki naszej nogi łzami oblewali; gdy ona tém zimnem, temi spojrzzeniami rażona, padała na ziemię i konwulsyjami wstrząsana jęczała. O Boże! taki widok często miewaliśmy przed oczyma; wzrosliśmy, ja i moja siostra Jadwiga, w widoku tym serce zakrwa-

wiającym. Ale miłość nasza nieograniczona, namiętna, święta dla matki, słodziła znieważanój żonie wszystkie boleści,—ona, gdy znów przyszła do siebie i ujrzała nas u stóp swoich żebrzących przebaczenia za winy okrutnego ojca, ach! wówczas ona wszystko zapomniała, całowała nas z uniesieniem, nazywała nas swojemi aniołami stróżami, i klękała, aby Bogu dziękować za tak tkliwe, dobre dzieci. I nigdy nie była miłszą, świętszą i szczęśliwszą, jak po przetrwaniu takich okrutnych, życiu grożących burz, i nigdy nie była zdrowszą. Czemu tak prześladował ojciec matkę, my nie wiedzieliśmy; ona mówiła, że on nas chce posłać do Berlina na wychowanie: mnie do szkoły kadetów, a Jadwigę na pensjonat królewski Maryi Ludwiki, i że ona temu się opiera, bo żyć nie może bez nas i wie, że lepsze nam jest w stanie dać wychowanie w domu. Prawda, ona była osobą świetnie wychowaną i zupełnie zdolną czuwać nad wychowaniem dzieci swoich, a zanadto je kochała, zanadto zamilowaną była w szczytnie pojętém posłannictwie matki, żeby mogła zezwolić na poruczenie przyszłości dzieci swoich obcym, płatnym ludziom.

A jednakże, jak dzisiaj rozważam rzecz, domyślam się, że co innego, jeszcze ważniejszego, tajemniejszego musiało dać powód do owych niestety! aż zanadto często powtarzających się zajęć, pomiędzy matką moją a ojcem, ciągle milczącym, w publiczności i na dworze z głębokim poważaniem, w domowym zaś pożyciu ze wżgardą obchodzącym się z żoną swoją. Musiało coś dotkliwszego ciążyć na sercu jego dumnej, nieubłaganéj excellencyi, pana ministra hrabi Reichenbach.

Matka moja długo cierpiała, potem zachorowała i odumarła nas, kiedy ja miałem lat piętnaście, a siostra moja Jadwiga jedenaście. Umarła błogosławiąc nas i Bogu dziękując, że już ziarno dobrego wrzucone w duszę dzieci, ciesząc się nadzieją, że ono szczęśliwie wejdzie, rozkwitnie pięknie i wyborne wyda plony. „Ja nad wami czuwać będę dzieci moje ukochane, tkliwe i dobre, ja umieram i wiem, że Bóg mi dozwoli opiekować się losem waszym; cokolwiek się z wami stanie, obraz matki zachowajcie w wierném sercu, bo ona duszy waszéj ukształcicielką; ojca kochajcie, bo on życia waszego dawcą!“ Tak mó-

wiła matka nasza umierając, a gdy umarła, tak była piękną w swój długiej popielatěj sukni, jak jēj nie widzieliśmy nigdy; i trumny jēj nie odstąpiliśmy ani na chwilę, aż ją spuszczone w kościele do sklepień grobów książęcych. Monarcha nasz z niewypowiedzianą dla ojca mojego radością, pozwolił przystawić zwłoki dobrėj matki naszėj w sklepieniach kościoła.

W kilka dni potóm, mnie zawieziono do korpusu kadetów w Berlinie, a siostrę moję do pensjonatu szlacheckiego Maryi Ludwiki w témże mieście. Mianowano mnie paziem w pół roku, potóm po złożeniu egzaminu oficerskiego, zostałem oficerem gwardyi króla pruskiego, mając lat 16, i kamerjunkrem monarchy mojego księcia Anhalt-Dessau. Matka umierając, zapisała połowę majątku swojego ojcu mojemu, a drugą połowę w równych częściach mnie i siostrze, żądając, abyśmy po dojsciu 24 roku życia, objeli spadek w posiadanie. Znudzila mnie mechaniczna służba moja: złożyłem egzamin na ucznia akademii wojennėj, uzyskałem wstęp do niėj i kształciłem się na inżyniera aż do dojscia do pełnoletności; a wówczas z niemalym dla ojca

mojego gniewem, będąc już porucznikiem inżynierów, opuściłem służbę wojskową, i korzystając z majątku zostawionego przez matkę moją, a przynoszącego mi tysiąc talarów pruskich rocznego dochodu; zapisałem się na wydział filozoficzny w wszechnicy berlińskiej, w której wówczas Jerzy Wilhelm Fryderyk Hegel wykladał swój system, niekiedy tak zajmujący, że niejednego zachwycił młodzieńca i uniósł go po za wszystkie granice rozsądku, praktyczności i szczęścia nawet. Ale prąd filozoficzny ogarnął wówczas nieubłaganie wszystkich ludzi powołanych i niepowołanych, wybranych i niewybranych i zapędził ich w owe nadzmysłowe sfery, w których nikt sprawdzić nie może; a zatem nikt się także mylić, nikt się nieprzekonać, czy to co głoszone za prawdę, jest może tylko uludą. Żyliśmy wówczas w Prussach i w Niemczech całych, wyjąwszy może Austrii, w abstrakcyjach, a zarazem najhaniebniejszej, najsmutniejszej niewierze religijnej. Panowała wówczas moda filozofii idealnej, przedstawicielka umyslowości ćwiczenia chciwej, a działania praktycznego unikającej; przedstawicielka, pragnąca pogodzenia się

z losem niedoleżności, do którego stosunki polityczne zniewalały. Panowała wówczas moda owa despotycznie, i tak się zagościła w Niemczech i na wiele krajów okolicznych silnie oddziaływała, że najpotężniejsze intelligencyje poddać się jój musiały, zagrzać w nią i znieudolnić się najbezpiecniój. I mnie także olśnił i przyciągnął ów tyle sławiony, nawet już i na dworach monarszych, hegeljanizm, i do tego stopnia we mnie wzniecił ambycją poznania się z rzeczą, o której ciągle i zawsze mędrkowano, żem szpadę i matematykę opuścił, dla czegoś zupełnie idealnego, co się ani co do siły, ani co do skuteczności obrachować żadnym sposobem nie da.

Więc tedy pracuję już od roku nad zgłębieniem owego bezdennego źródła mądrości, z którego tak wielkie na ludzkość całą spłynąć miały dobrodziejstwa, siłę się sumiennie i gorliwie, słucham kursów wielkich professorów i biorę *privatissima* od nich, ale z wstydem przyznać muszę, że lubo wszystko pojmuję, mało jednakże odkrywam w owój otchłani abstrakcyjnej idei życiodawczych, które miały zaprawić i użyźnić w sposób tak cudowny *nasz umysł*, dotychczas

od stworzenia pierwszego człowieka, aż do wymyślenia hegeljanizmu miotany błędami i domysłami, nieujęty w stałe i niezmiennie prawa, tak jak dziecko niewiedzące, czy coś parzy lub ziębi.

Na kursie psychologii, wykładanym w duchu filozofii Hegla, poznaję współuczniwa, o jakie dwa lata starszego, pilnie uczęszczającego na kurs; ale uśmiechającego się szyderczo i z widoczną niewiarą, gdy uczony professor prawidłem ogromnej filozofii swojej rozbijał ciasne pojęcia Bakona i Lokiego o władzach duszy ludzkiej. Na wymownej twarzy młodzieńca tego wyczytałem głośnie echo cichych moich uczuć i myśli, zresztą i we wszystkiém mi się podobał; poznałem zaraz z otwartego, pełnego uczciwości wyrazu twarzy akademika, że on nie był ową zeszlą w egoizmie, niedowiarstwie i zarozumiałości plantą berlińską (*Eine berliner Pflanze*).

Dość, że to był mój przyjaciel August tu obecny. Zapoznałem się z nim, i on mi bez ogródki powiedział, że według niego i wielu ludzi serca, prawdziwie zamilowanych w życiodawczych naukach, hegeljanizm był tylko urojeniem pełnym szczytności, głębokości, a płonném zupełnie i do-

wodzącém jedynie, że do niezmiernie dalekich granic szermierstwo umysłowe może rozwinąć siłę najfalszywszój myśli. August doskonale obeznany z systematami wszystkich filozofij, jakimi od najdawniejszych czasów oświecano, balamucano i bawiono umysł człowieka; potrafił mi w poufnój pogadance w ciągu kilku godzin właściwą wartość filozofii wykazać, i to z tą szczerą, serdeczną wymową, jaka mu jest właściwą.

Słowa jego, wyznam to szczerze, spadły na duszę moję jak rosa na upragnioną ziemię: Iżej mi było na sercu, skorom się przekonał, że inni podzielają myśl moję, zdanie moje o rzeczy tak ważnej, jak jest rządząca umysłami marzącój Germanii filozofija; i od tego czasu polubiłem Augusta ową braterską miłością, którój pociąg i moc samego mnie zadziwiła. I znalazłem u niego wzajemność, nieśmiałą zrazu, bo on jako *nieszlachcic*, nie ufał w piérwszój chwili szczerości szlachcica, a tém bardziej hrabiego; ale widząc mnie stroniącego od innych i doń się tulącego szczerze i serdecznie, zaufał nareszcie przyjaźni mojej, i odtąd dwaj młodzieńcy, którzy nigdy nikołgo przyjacielem nie nazwali, i na wielkim i lu-

dnym obszarze świata nieraz bolesnie samotność uczuwali swoją; odtąd dwaj młodzieńcy nieodstępni stali się towarzyszami.

On właściwie poświęcił się medycynie, a filozoficzne nauki, w duchu przepisów akademickich, tylko jako pomocnicze do specjalnych, ale gorliwie uprawiał. Ja, żeby z nim pozostawać jak najczęściej, chodziłem z nim na kursa chemii, fizyki, botaniki, na wycieczki botaniczne, nareszcie i na zoologiją, na anatomiją, nawet — na dyssekcyje anatomiczne. Może po pierwszy raz w życiu młody hrabia i kamerjunker władał skalpelem anatomicznym tak dzielnie i ochotczo, jak kiedyś władał szpadą i robił honory dworskie u monarchy swojego. On we mnie wzniecił to czule zamiłowanie do nauk przyrodzonych, które człowieka w każdej chwili życia zdolne są pogodzić z jego przykrościami, które nas stawiają najbliżej Boga, bo nas czynią, że tak powiem, powiernikami najskrytszych i najwznioślejszych zamiarów wiecznie łaskawej i mądrej Opatrzności.

A gdym się nauczył cenić i uwielbiać tajemnice przyrody, zapragnąłem korzystać z tych wia-

domości dla dobra i ulgi bliźnich moich, i zapisałem się na wydział lekarski.

W ówczas uwiadomiono mnie urzędownie, że przestałem być kamerjunkrem, a minister hrabia Waldemar de Reichenbach, syna swojego Rudolfa Reichenbach wydziedziczył i wyparł się go, jako niegodnego dźwigać ciężar sławnego nazwiska, bo się poświęcił zawodowi, niezgadującemu się z powołaniem szlachezca wyższej rangi; syna zaś swojego Leopolda, splodzonego z drugiej żony baronówny von Wisching du Barle, raczył mianować pierworodnym synem swoim.

Ciosy te aczkolwiek bolesne zniosłem z odwagą, jako pierwsze ofiary zamilowania do nauk pocieszających mnie za wszystkie niedole. Szczęściem, że mnie wyzuć nie mógł mój ojciec z majątku pozostawionego mi przez matkę, zachowałem sposób do dalszego kształcenia się, nie dbałem o nic więcej. Ale siostrę moją ukochaną, szlachetności i serca pełną, boleśniej dotknęło to nieszczęście, zwłaszcza, że jój zakazano przyjmować mnie w szlacheckim instytucie pańien, w którym ją kształcono na frejlinę dworu.

Tylko ukradkiem mogliśmy się widywać w kościele, rozmawiać z sobą nigdy, ale za to listownie udzielaliśmy sobie często i rzewnie nasze uczucia i myśli, i zawsze wierni zasadom wszczepionym w nas przez świętą matkę naszą, kochaliśmy się serdecznie i często ją wspominaliśmy.

Nadeszły wakacje. Wszystko pierzchało z tego brzydkiego miasta, znośnego tylko wtenczas, kiedy uniwersytet jest otwartym. Ojciec Augusta wezwał go do siebie nad Ren.

— Ja nie pojedę, jeżeli ty zemną nie pojedziesz mój Rudolfie, — rzekł August do mnie: „ja już żadnej przyjemności bez ciebie nie pojmuję. Jedź ze mną, przyjmij gościnność w domu ojca mojego, nie zastaniesz w nim wykwinności, godnych twego rodu, ale znajdziesz serce siebie godne.”

Przyjąłem to zaproszenie i puściłem się z Augustem do księstwa Nassauskiego, w którym pan Kratz, ojciec Augusta, miał prześliczną wioskę, położoną na stopach uroczej góry Taurus w okolicy zachwycającej jak raj ziemski; między lasami, skałami, i starych zamków rozwalinami.

Spodziewałem się znaleźć sędziwego starca, znalazłem młodego człowieka, zaledwie o dwadzieścia lat od Rudolfa starszego, człowieka pełnego siły fizycznój i czerstwości umysłowój. Zdziwienie moje było niesłychane, zwłaszcza, że mnie pan Kratz powitał z ujmującą serdecznością, dziękując mi w czułych wyrazach za przyjaźń dla jego syna powziętą, przyjaźń, o którój August często wspominał w listach swoich. Zaraz w pierwszój godzinie byłem w domu pana Kratz, jak nigdy w własnym domu, od śmierci ukochanój matki mojej. Umieszczono nas obok kolegów w belwederku prawdziwie pięknym, którego cztery okna przedstawiały tyleż panoram zachwycającego uroku. Tu pnący się w stromą górę las, w którym czérniały drzewa iglaste, i drżały w blasku księżycza białych brzezini gałęzie, tam znów zwałiska zamku feudalnego Stein, sterczące na górze, do którój krętą ścieżką piał się pustelnik i jego koza, jedyni tych ogromnych siedzib mieszkańcy; tam śmiały się łąki Reingau bujną pokryte trawą, i pola złota balwaniące się pszenicą; ówdzie spadał strumień z wysokiój skały z pośród winnic, i obra-

cał młynem raźnie trzaskającym i tętno życia rozsyłającym po całej okolicy. Na ścianach belwederu zawieszono fuzyje, torby myśliwskie, rogi napelnione prochem, i pulwersaki pełne śrótu różnych numerów, tam biblioteczka, owdzie biórka; a łóżka w spodniem piętrze, do którego po ślimakiem krętych wchodziło się schodach. Nigdy w życiu nie czulem się szczęśliwszym, robiliśmy co nam na myśl przyszło, a myśl zawsze mieliśmy też samą, ochotę też samą; we wszystkich zaś wycieczkach, wybrykach i uciekach brał z nami udział ojciec Augusta, nasz towarzysz, z którym byliśmy sobie zaraz dnia pierwszego *ty a ty*, tak jak z starszym bratem. Szczególne to było pożycie przyjaciela mojego z jego ojcem, tak dziwnie naiwnie poufale i serdeczne, jak nigdy drugiego nie spotkałem w świecie. Raz ojciec budził syna i wzywał go do jakiej zabawy, drugi raz syn budził ojca i zmuszał go do jakiej wycieczki w góry, lasy i knieje, napelnione grubą zwierzyną, z którą nie zawsze było bezpiecznie potykać się. Tyle ulegał syn ojcu, ile ojciec synowi, jeden drugiemu robił niespodzianki i platał figle doskonale, a za-

wsze niewinne i przyzwoite. Śmieli się nie raz jeden z drugiego aż do łez, i potem się godzili, całowali jak bracia, i znów z rozczulenia płakali. Mój Boże drogi! ja nigdy uśmiechu na licach ojca swojego nie widziałem, i nigdy jego wargi twarzy mojej nie dotknęły! Ja wówczas zazdrościłem Augustowi, a on, gdy to spostrzegł, ścisnął mnie serdecznie i przyciskał mnie do piersi ojca swojego, mówiąc mi: „jesteś moim bratem, bądź synem ojca mojego, serce jego wystarczy dla dwóch synów.” Tak mnie szczerze polubili ci wyborni ludzie, ja też wkrótce zapomniałem, że byłem sierotą, wydziedziczonym przez własnego ojca, i tak się czułem swobodnym pomiędzy temi ludźmi, jak gdybym się był urodził pomiędzy nimi i całe życie spędził w ich gronie w tym cudnym zakątku, tak bliskim środka najwyżwintniejszej oświaty, a tak odosobnionym, jak gdyby nas mury chińskie od świata przedzielały.

Pisywałem do Jadwigi często, i opowiadałem jej każdego dnia wrażenia, z uniesieniem mówiłem o ojcu Augusta, widać że z wielkim uniesieniem, bo ona w osobnym liście podziękowa-

ła jemu za wpływ zbawienny, który w jego domu gościnnym doznał biedny z ojcowskiego błogosławieństwa wyzuty sierota.

Ojciec Kratz, gdy ten list przeczytał, struchlał prawie, nie wiem co go tak bardzo w nim ujęło, ale go przeczytał razy kilka, i rzekł: „ah! ta dusza w tém piśmie, ah! ten charakter pisma tego! — cóż to za złudzenie? — czy to głos z tamtego świata?”

I gdzie mnie tylko spotka ojciec Augusta, zawsze tak się zemną obchodził, jak gdyby się serce jego do mnie rwało i do mnie wyskoczyć chciało. On mnie prawie więcej kochał jak syna własnego, i rękę moję godzinami całemi w swojej ścisłał ręce, w twarz moję oczy swe zatapiał, i dalibóg nieraz łzawą źrenicą. W ówczas ja sobie sam sprawy zdać nie mogłem z swoich uczuć ani myśli, czułem w całym mojem ciele, że się jakieś błogie, magnetyczne uczucie przelewa we mnie, i tak szczerze ścisłałem rękę dobrego Arnolda Kratz, jak on moję ścisłał; ale nie wiedziałem, co jest téj zobopólnej sympatyi przyczyną, i czemu ją mam przypisać. Często wpadał Arnold, bo już tak go nazywam, jak

chciał przezemnie być nazywanym, często, mówię, wpadał Arnold w jakieś tkliwe, uroczyste usposobienie, i wypytywał mnie się całemi wieczorami o życia mojego przeszłego koleje, gdzie i jak wzrosłem, pod wpływem jakiego wychowania, i jak się stało, że mnie nie olśnił blask rodu, tytułów, majątku, widoków; i że się poświęciłem, mając otwartą przed sobą karierę, trudnej nauce medycyny? Ja jemu spowiadałem się z wszystkiego, jak nigdy przed nikim, a gdy mu mówiłem o matce mojej, w ówczas on tłumił widocznie rozrzewnienie swoje, i tak nieraz był rozstrojonym, że biegł do pokojów swoich, padał na kolana i nocy całe spędzał na modlitwie.

Nawet Rudolfa zastanawiała, zadziwiała niezmiernie owa tkliwość ojca jego.

Dziwna rzecz, ty coś wywierasz niezwykle wpływ na ojca mojego; on w twojem towarzystwie zupełnie jest innym jak zwykły bywać, nawet zemną tak nigdy nie bywa serdecznym, lubo Boże daj! aby wszyscy ludzie na świecie mogli się poszczycić takim ojcem. Poczciwy ojciec! on miał lat dwadzieścia jeden, gdy ja na świat przybyłem, a matka moja, zaledwie sze-

snastoletnia, w kilka minut po urodzeniu mojem, ucałowawszy mnie — umarła; tak, umarła, ja nigdy jój nie widziałem. Ojciec mój młodzienia-szek, był mi ojcem, matką, niańką najczulszą; on się dla mnie, posiadając tyle darów przyrody, piękność, młodość, siłę i bystrość umysłu zdumiewającą, tyle darów nabytych, jaki taki majątek, ukształcenie, wiadomość światową, on się zakopał dla mnie malutkiego Embrjona, w tem ustroniu i wytrwał, dla pełnienia ojcowskich obowiązków we wdowieństwie przez lat dwadzieścia kilka; wytrwał w takim długim, i wierz mi Auguście uciążliwym wdowieństwie, bo to dla młodego, pełnych sił już próbowanych człowieka, uciążliwym musi być jednakże poświęceniem, zrzec się tak zupełnie owych przyjemności tego towarzyskiego życia, którego my, mój bracie Auguście, nigdy nie zakosztowali. Bóg nas strzeżł, strzeżmy się teraz sami; i jemu przypiszmy zasługę, jeżeli wytrwamy. Ty tak od razu posiadłeś serce tego arcy-pocziwego, miłego człowieka, i on ciebie kocha dalibóg święciej prawie jak mnie samego, syna swojego jedyneho, dla którego tyle poświęcił. Musisz mieć jakiś magne-

tyżm w sobie hrabio Reichenbach? bo inaczej jakże wytłumaczyć owe przyłgnięcie syna i ojca Kratza, tak dumnych z urodzenia swojego mieszczańskiego, tak dumnych nawet z nazwiska pospolitego, gminnego, trywialnego.”

— Ja sobie to tłumaczę mój dobry Augustcie przez litość, którą w poczciwem sercu waszém wznicił człowiek tak nieszczęśliwy i uczciwy jak ja, — odpowiedziałem bratu z ducha mojego: „Rzadko bardzo w obecnym porządku rzeczy, człowiek przywiązać się może do człowieka, prąd czynu pędzi nas, para lokomotywy jest na rozporządzenie kilku talarów, bieżemy i bieżemy, jeden w tę, drugi w tamtą stronę, zawieramy znajomości; chwilę potem już nie wiemy z kim ją zawarliśmy; bo inny następuje i wygania nam z pamięci tego, który poprzedził. Zostaje czasem sympatya dla takiej lub takiej fizyjonomii, ale nazwisko tam gdzieś precz uleci; zostaje tylko niewyraźnej serce chwytającej tęsknoty wspomnienie, i to się nagromadzając w sercu tkliwém, w dobroć ludzkości uwierzyć pragnącém, wywiera się od razu na człowieka wyboru, znakomitego rozumem, duszą, lub nare-

szcie sercem z którym dłużej przestawać można. A jak serce spotka serce, co do serca lecieć chce i pragnie; w ówczas zetkną się dwie dusze szczelnie i tém więcej kochać się będą im mniej jest takich, którzy kochać się umieją. I tak moje z twojém skojarzyło się sercem. Ja byłem samotny od chwili, w której matka moja wyzionęła duszę swą świętą i lubą, tak głębokie w duchu moim pozostawiającą wrażenie, potem zawsze byłem samotnym, nawet w poczcie licznych kolegów w korpusie kadetów, w pułku, na dworze i na akademii wojennej. Podobałem się kolegom swoim, lubili mnie oni i spędzać ze mną chwile pragnęli, bom nikomu nie zamięszał pokoju, i w sprzeczkach zawsze pojednywałem zapasników, ale, przyjaciela nie zdobyłem sobie nigdy, i często zazdrościłem tym, którzy ich mieli, lub téż nawet tylko mieć mniemali. Ciebiem spotkał na drodze życia swojego mój dobry Augustie, do ciebiem przylgnął, i uzyskał od ciebie wzajemność, ale nie bez pewnej trudności, sam przyznasz, bo ty nie lubisz szlachty, czyli raczej nie ufasz jój, jako ludziom, którzy jak przestali wojować szablą, to zaczęli wojować rozdwojo-

nym językiem. Więc tedy, ty mnie jednak pokochałeś, boś mnie widział samotnym, pragnącym, jak ów bluszcz pnia dębowego, aby się mógł przytulić i obwieć około niego, i los swój krótszy zrobić zależnym od dłuższego losu tegoż drzewa, które burze, głody i susze przetrwać jest w stanie. I tak ja ciebie pokochałem, a ty pozwoliłeś, abym się przytulił do ciebie, i potem, gdyś spostrzegł iż moje liście ciebie zasłaniają od wiatru i śniegu, w ówczas uczuleś ciepło w pocziwém sercu swoim, i także mnie pokochałeś. A co zrobił syn, to uświęcił ojciec, tak dobry jak syn, i dumny stąd, że syn tyle wznieść może przyjaźni w człowieku w innój zupełnie sferze zrodzonym; ale także z serca niewyżutym, i przede wszystkim w pociąg serca wierzącym.

I tak się stało, że syn i ojciec Kratz, szczęśliwi, poważani i enotliwi, są przyjaciolmi Reichenbacha wyzutego z wszelkiej opieki, i od dawna łaknącego podziału uczuć wszczepionych mu przez matkę, która była mieszczanką jeszcze trzy dni przed ślubem z jój dostojnym a tak okrutnym mężem.“

Przeszły wakacje jak snu błogiego obrazy, i my wróciliśmy do Berlina; od téj chwili już razem mieszkaliśmy, i z nowym zapalem wzięliśmy się do nauk; a gdy znowu wakacje nastąpiły, spieszyliśmy nad Ren w Nassauskie do cudnego ustronia, w którém nas oczekiwał z niecierpliwością brat nasz najstarszy Arnold Kratz, i znowu upojeni szczęściem, wracaliśmy do Berlina, do prac i studyjów.

Tym czasem siostra moja wyrosła a raczej wykwitła do téj zdumiewającej piękności, jaką wiecie, kochani przyjaciele, że ją Bóg obdarzył. Już w siedmnastym roku życia Jadwiga tak była wysoką, i pomimo zupełnej niewinności i małej znajomości świata, tak imponującą, jaką jest dzisiaj.

Ojciec spostrzegł się na piękności swéj córki, wziął ją do siebie i prezentował u dworu. Wystąpienie Jadwigi było tryjumfalnym, młody książę Waldemar Wilhelm, gdy ją tylko zobaczył, zaraz się nią zajął, i zajmować nieprzestawał z uniesieniem tak wielkiém i widoczném, że w całym kraju Anhalt-Dessauskim, nie mówiono o niczem jak o czulój miłości jednego z książąt

dla przyszłej może poddanki swojej. Ale wzajemności nie uzyskał książę u siostry mojej; ję serce nie przemówiło wcale, a gdyby nawet było przemówiło, Jadwiga za dumną jest kobietą, żeby się mogła zgodzić na zawarcie morganatycznego ślubu. Przez morganatyczny ślub małżonek nie nadaje małżonce swojej tego stopnia, który sam posiada. Jadwiga nie chce być pod żadnym względem niższą od męża swojego.

Ale ojciec inaczej czuł i rozumiał. On uważał za największe szczęście, za najpiękniejszy zaszczyt być teściem księcia, chociażby tylko morganatycznym, leworęcznym; on córki swojej wcale nie pojmował wstrętu od takiego małżeństwa, nie umiał przeniknąć tej szlachetnej młodej duszy tajników, i po prostu uważał Jadwigę za rodzaj szaleńca, traktującego samotnie szczęście swoje nogami; nareszcie nie mogąc namową znaglić córki do zawarcia małżeństwa, wziął się ojciec do podstępów, zapewne za poduszczeniem drugiej żony, nie zły z serca, ale wychowanej w sferze, która tłumić zwykła wszystkie poruszenia jego.

Biedna Jadwiga smutne przepędzała chwile na owym dworze, którego była frejliną i celem tak dostojnych zalotów. Dwa lata upłynęły w ten sposób, nareszcie wszystkie natężono sprężyny, aby Jadwigę zmusić do zawarcia małżeństwa, nim ona skończy rok dwudziesty pierwszy, i uzyskać niezawisłość. Nie widząc innej rady, obawiając się uledez, siostra wzywa mojej pomocy; prosi, abym uwiózł ją gdzieś w bezpieczne miejsce i dał jej za towarzyszkę jedną z dalekich krewnych, wdowę, która mieszkała w Berlinie i bardzo kochała Jadwigę. Udało się dzieło; uwieźliśmy siostrę z pałacu nieczulego ojca aż w Nassauskie pod gościnną strzechę poczciwego Arnolda Kratz, i tam ją umieściwszy w tym Edenie nieporównanej piękności, wróciliśmy do Berlina, i wkrótce potem złożyliśmy egzamen doktorski, nim jeszcze czas miano wpaść na myśl, że to ja z Augustem wykonaliśmy to uwieszenie siostry mojej z Dessau. Ale wkrótce potem dały nam się we znaki przenikliwość i potęga pana ministra Anhalt-Dessauskiego, i wpływy jego w Berlinie. Miano nas uwięzić, aleśmy nie czekając tego, umknęli pod stopy Taurusa w Nas-

sauskiem; gdzie tymczasem Jadwiga używała w domu pana Kratz dawno niedoznawanej swobody, rysowała widoki, grała, śpiewała stare ballady w tym klassycznym kraju Germanii wyłęgle, i z panem Arnoldem, którego bardzo polubiła, wyjeżdżała konno na spacer. Nowe żywioły szczęścia i radości przybyły do tego zakątka razem z nami. Od lat dziesięciu nie mieszkalem pod jedną strzechą z siostrą moją, i prawdziwie nie spodziewalem się, żeby dziewczyna tak młoda mogła się utrzymać przy swój rodzinėj działalności, i nie nie stracić z przyrodzonėj jędrności i szczerości uczuć. Ale tak było jednakże, siostra moja, którą wy wszyscy przyjaciele moi znacie, w wiernem sercu pielęgnowała pamięć matki swojėj, i nie jēj zwichnąć nie mogło z raz obranego sposobu czucia i myśli; wytrwała w dobrem i wszystko w dobro się obróciło co jēj tylko podano do głowy i do serca; chociażby nie było podawane z tą intencyją. Czas przepędzony z siostrą moją w Reingau w dworku pana Arnolda liczę za najszczęśliwszy jaki przeżyłem w życiu swojém, nigdy Jadwigi nie widziałem tak pięknej, tak wesolėj, tak serdecznie zachwy-

conej pięknością natury i dobrocią przyjaciół swoich. Ojciec i syn Kratz współubiegali się o wynajdowanie młodej, w murach pałaców, zamków, pensjonów i dworów wyrosłej kobiecie, co raz nowych sielskich przyjemności, a ojciec Kratz tak nią był zajęty, i nie raz z tak rzewną widoczną tkliwością wpatrywał się w oblicze Jadwigi, że to budziło zazdrość syna, który, nawiasem powiedziawszy, już się był pokochał w siostrze mojej. Niestety! szczęście nasze nie potrwało długo. Minister Anhalt-Dessauski dowiedział się, gdzie przebywa syn i córka jego, i wyjednał sobie u rządu Nassauskiego naszą ekstradycyją, ale pan Arnold Kratz, szanowany w kraju swoim obywatel i członek izby niższej księztwa, dowiedział się przez przyjaciół, co grozi gościom w domu jego, i uwiadomił nas jeszcze w porę o niebezpieczeństwie. Ze łzami w oczach opuściliśmy strzechę przyjaciela i przytulku szukaliśmy w wolnem mieście Frankfurcie nad Menem, gdzie pod przybraném nazwiskiem, kryliśmy się w domu jednego z najzacniejszych obywateli miasta, u którego pan Kratz wyjednał nam gościnność i protekeyją. Obawiając się dal-

szych prześladowań, ściągnąłem od bankiera mojego w Berlinie, zapisany mi przez matkę moją kapitalik; późniejsze wypadki usprawiedliwiły aż nadto dobrze tę przezorność. Dwa miesiące bawiliśmy w Frankfurcie, i często nas odwiedzali, ale po kryjomu Kratzowie: aż tu na raz dla nas zupełnie niespodzianie, wybucha ów sławny a niedorzeczny rokosz, wzniecony przez kilkunastu młodych szaleńców, rokosz którym jedno stronnictwo chciało zwalić drugie. Przyszło do walki pomiędzy rokoszanami, po większej części uczniami uniwersytetów niemieckich, a milicją Frankfurtską, i kilkunastu padło ludzi. Bóg wie jak nieszcześliwém a dziwném zrządzeniem losu się stało, że ja wyszedłszy na ulicę, widząc jednego znanego mi akademika ранnego i broczącego we krwi, leżącego na bruku, podniosłem go, i pełniąc powinności mego lekarskiego powołania, zawiązywałem mu ranę zadaną w udo. W tém, gdy jeszcze zatrudniony byłem, przypadło dwóch milicyjantów, a uważając mnie za jednego z rokoszan, chcieli zabrać mię z sobą. Próżne były moje wymówki i szamotania się, porwany przez milicyjantów, już

miałem być zaprowadzony przez nich na odwach, a może i wojennym sądem sądzony, gdy w tém slysze glos z okna domu jednego: „uciekaj na miłość Boga hrabio Reichenbach! bo z bocznej ulicy biegnie ku tobie patrol milicyjantów.” Ja zdarłszy tylko ładownicę zabitemu akademikowi, puszczaam się z bronią w rękę na los szczęścia; już świszczą za mną kule goniących mnie milicyjantów, ja chcę się schronić do jakiego domu, ale wszystkie szczelnie zamknięte, już mi zabiegają z innej strony drogę milicyjanci, jestem wzięty pomiędzy dwa ognie i rozpacz mnie ogarnia,— skoro dziwném zrzędzeniem losu spostrzegam, że tkwią klucze w żelaznych drzwiach wieży kościoła katolickiego świętego Bartłomieja. Dopadam do drzwi, otwieram je, klucze wyrywam, z wewnątrz zamykam drzwi na klucz i na rygle, Bóg mnie ocalił!

Teraz nastąpiło formalne oblężenie wieży, w której się zatarassowałem, i do której, szczęściem, żaden inny wchód nie prowadził. Chciałem się przekonać, czy tam na dole pilnują, i wyrzależem z jednego z okien wieży, wysoko więcój jak 450 stóp wyniesionego. Milicyjanta-

mi komenderował dobry mój znajomy a nawet powinowaty, baron Emil Scharff von Scharffenstein.

— Jak się masz majorze Scharffenstein? — krzyknąłem z okna najdolniejszego na barona. Ten spojrzał na mnie, natychmiast mnie poznał, i biorąc się za głowę krzyknął:

— *In des drei Teufels Namen!* co ty tu robisz hrabio?

— Co tu robię? Wytrzymuję oblężenie i szturm, który ty komenderujesz kuzynku, — nie więcej.

A więc hrabio Reichenbach, jesteś obwiniony o należenie do rokoszu, wzywam cię w imieniu senatu rzeczypospolitój Frankfurtskiej, złóż broń i poddaj się.

— To się wie, że się poddam, idzie tu tylko o warunki. Nie należę do liczby buntowników, którzy podnieśli broń przeciw władzy tego miasta, tylko opatrując jakiegoś rannego, nie wiem do jakiego stronnictwa należącego, zostałem napađnięty przez milicyjantów, otóz cała rzecz; gniewem uniesiony, mozem i potraćił którego, ale nie było to z umysłu albo złój woli. Podda-

ję się, ale pod tym warunkiem, że wzgląd będziecie mieli na położenie moje.

— Poddaj się na łaskę i nielaskę, rzekł major, jedynie pokorą twoją wyjednać sobie możesz względy władzy.

— *Nie poddawaj się bezwarunkowo!*—*tak ci radzi August*, — ozwał się z trzeciego piętra naprzeciwległego domu głos jakiś potężny, z tuby morskiej wydany. Poznałem że to głos mego przyjaciela Augusta Kratz.

— Poddam się pod tym warunkiem, że mi senat zabezpieczy piśmiennie: *życie, swobodę i natychmiastowy wolny odwrót do kraju, jaki sobie obiorę.*

Zerwano ze mną układy, wieczorem, dnia tegoż samego jeszcze raz mnie wezwano z wielką pompą do poddania się na łaskę i nielaskę. Ale głos z tuby morskiej: „*nie poddawaj się bezwarunkowo,*“ znów się dał słyszeć. Odrzuciłem tedy propozycją.

Wojsko nie odstępowało drzwi od wieży. Pod wieczór, pomimo wyroku senatu, skazującego mnie na utratę szlachectwa, życia i apetytu, tego ostatniego istność dała mi się czuć nader do-

tkliwie. Ale widać że musiałem mieć dobrych przyjaciół w mieście; bo naraz zręczną dłonią ciśniętych, wpadło kilka paczek przez okna do wieży; a w każdym z tych pakietów znalazła się świeczka, zapalki, dzienniki, list wzywający mnie do wytrwałości, mały pasztecik strazburgski i buteleczka skurzanna, napelniona wyborném hiszpańskiem winem. Kilka może podobnych pakietów padło na ulicę, i zostało podniesionych przez milicyją; ale niech im na zdrowie będą pasztety i wino, dla mnie wystarczyło, co do mnie doszło.

Otucha wstąpiła w serce moje, pewny byłem że się dostojni krewni moi, których miałem kilkoro w Frankfurcie, ujmą za mną, jak tylko z pierwszej trwogi ochłoną władze miasta, a że rokosz był uśmierzonym tego byłem pewnym, bo w całym mieście panowała spokojność, nigdzie pożar nie wybuchł, wystrzały oddawna ucichły.

Więc tedy czekam, w pokoiku dzwonnika, świece zapalam i czytam sobie dzienniki, przesłane mi lotną pocztą do wieży, ale broni nie wypuszczam z ręki.

Godzina za godziną wybija, wybiła jedenasta, dwunasta i pierwsza; nareszcie jakiś szmer sły-
szę z téj strony wieży, która do kościoła przy-
tyka, slysze go w samym murze zaklęśniętym
w tém miejscu, jak gdyby jakimś wchodem, kie-
dyś w murze wybitym, a teraz zamurowanym.
Wyraźnie pojmuję, że coś drogę sobie toruje,
wierci w tym murze; nareszcie świder jakiś przez
mur przechodzi, potem dziurę wywierciwszy
cofa się, szczotka okrągła wymiata otwór, i głos
daje się slyszeć przez otwór:

— Rudolffie? czy jesteś tam?

— Jestem, a kto wy jesteście? — odpowia-
dam, a serce biło mi potężnie nadzieją swobody.

— Jesteśmy przyjaciółmi twoimi, Arnold, Au-
gust, Emil Scharffenstein i inni wierni, wybijem
otwór i przez chór, kościół, zakrystyją i opac-
two przeprowadzimy cię na wolność, — rzece
głos tubularny.

— A kto mi ręczy, że wy przyjaciele, któremi
się mianujecie? — spytam.

— Oto to, żeśmy do ciebie nie strzelali, gdyż
nam odpowiadając, usta do wywierconego otwo-
ru przytykał, i to jeszcze: hasło mi podał August

od dawnego czasu pomiędzy nami na wszelką ewentualność umówione.

— Więc wierzę wam, — rzekłem uradowany.

Trudna to była praca wywazać cegłę po cegle z grubego muru, ale Bogu i wytrwałości dobrych przyjaciół dzięki, udało się przecież, i mogłem się wygramolić z wieży na chór kościelny, nie bez wielkiej biedy jednakże. Na chórze znalazłem z dziesięciu znanych mi przyjaciół, i murarzy kilku, którzy natychmiast wzięli się do zamurowania otworu i zniszczenia wszelkich śladów, że on był zrobionym.

Nie zdołałem opisać uniesienia mojego, gdy się zoczył w ramionach przyjaciół, i ich radości także odmalować nie potrafię nigdy.

Przeprowadzono mnie cichaczem przez kościół, zakrystyją, opactwo, krętymi uliczkami i nieznanymi mi ścieżkami do jakiegoś odległego domku, w którym znalazłem siostrę swoją rzewnemi łzami zalaną, i oczekującą mnie z niecierpliwością gorączkową.

Do tego domu weszli tylko Arnold i August.

Inni przyjaciele, pożegnawszy mnie i szczerze uściskawszy, poszli w swoją drogę.

Boże drogi! czémże jest los człowieka; od jakich nieprzewidzianych okoliczności i przypadkowości zależy. Ja dotychczas niewierzący w żadną politykę, niebiorący najmniejszego udziału w żadnej sprawie zalatującej się, ufność pokładający jedynie tylko w skuteczności uczciwej pracy, rzetelności i honoru,—ja zostałem *naraz*, nie spodziewając się tego bynajmniej, obwinionym o Bóg wie jakie przewinienia, wyklętym, na utratę czci i na śmierć skazanym. Rano budzę się wolnym, światu szczęścia życzącym; chory w nocy, już jestem nieumarłym ani chorym;—lecz po prostu wyklętym z towarzystwa używającego praw cywilnych.

W dni kilka potem byliśmy, ja, siostra moja, pani Gruszyńska, jej ciotka, Arnold i August w Szwajcaryi; a w tydzień potem, ja i August słuchaliśmy jak najprzykładniej wykładu kliniki wewnętrznej w szpitalach fakultetu lekarskiego w Zurich; kurs zaś ten wykladał sławny Schönlein, który dziś jest lekarzem króla pruskiego i professorem wszechnicy berlińskiej.

Rok cały pozostawaliśmy w Zurich, oddając się jak najgorliwiej naukom; potem, niezawodnie za wstawieniem się ojca mego i na naleganie *Bundestagu*, zostaliśmy wygnani z Szwajcaryi. Udajemy się do Paryża, tu znów naukami jedynie się zajmujemy, August przedewszystkiem chirurgija, ja medycyną wewnętrzną, a mianowicie chorobami nerwów i duszy. Pracujemy sumiennie, z nadzwyczajném zamiłowaniem do zawodu swojego, znajomości nie zawieramy żadnych z ludźmi niczém niezatrudnionemi, bo ci są niebezpiecznemi znajomemi. Pomimo tego, rząd francuzki, niezawodnie znów na prośby kochanego ojca, który nas chciał przywieść do ostateczności i zmusić do pokory; pomimo tego, rząd francuzki kazał nam wyjechać z kraju.

Jednocześnie zawezwano siostrę moję *przez pisma publiczne*, do stawienia się w naznaczonym a krótkim terminie w rodzinnym kraju i poddaniu woli ojca, jeśli nie chce stracić majątku przez nią posiadanego i oddanego sądowi pupilów do rozporządzenia. Siostra moja nie stawiała się i odsądzoną została od majątku przez matkę

jój pozostawionego. Szczęściem, że ja zdołałem ocalić moje trzydzieści tysięcy talarów.

Przyjaciele nasi, bo takimi okazaliście się wszyscy tu zgromadzeni względem nas, przyjaciele, wy wiecie, jaka mnie czuła sympatyja łączy z Augustem. To współczucie było od lat blisko szczęciu okrasą życia naszego, czarowało nas wszędzie i zawsze, gdzieśmy się tylko znaleźli, było dla nas obu źródłem nieprzebraném tkliwych i cichych uniesień, a zarazem sposobem, przez który w ciągu lat najpiękniejszej, najsilniejszej młodości, uniknęliśmy wszelkich naga-bywań czarta, zawsze godzącego na moralność młodzieży. Inaczej być nie mogło. Najsumienniejsza estetyczność była podstawą, na której wzrosła i wykwitła przyjaźń nasza, ciągle i nieprzerwanie razem mogliśmy strzedz téj estetyczności, przestrzegać ją daleko skuteczniej niż w oddaleniu, niż w samotności nie posiadając świadków. Rzadko kiedy głos czarta, pokusa tak są mocne, żeby przez dwie odrazu silne dusze był usłyszany; a i wówczas wstyd dziewiczy, otulający serca nasze, tak jak pyłek otula owoc świeżo dojrzały, nie dał nam pójść za podsze-

ptami namiętności, przerywającemi urok estetyczny, w którym ciągle i nieprzerwanie nasze dusze krążyły. Oparliśmy się, dzięki szacunkowi, który jeden pielęgnował dla drugiego, wszelkim nagabywaniom ciała, usiłującym nadwątlić jego czystość, i osłabić w duszy wiarę w możliwość nieugiętej cnoty.

O ile zaś czulém, zastanawiająco tkliwém było owo współczucie serca i nasze i umysły łączące, to się wykazuje jasno z wielu szczegółów życia naszego, z wielu wydarzeń, które wam opowiem w części. Wówczas, kiedy ja bawilem jeszcze w Franfurcie z siostrą, August zaś pozostawał z ojcem swoim w Reingau, i gdy nadszedł dzień naznaczony przez spiskowych na przedsięwzięcie owego zamachu studentskiego, August Kratz nie wiedząc o przygotowaniach na ten zamach, przeczuł jednakże, że jakieś mi grozi lub grozić będzie niebezpieczeństwo, niezmiernie był niespokojnym, i nareszcie, nie mogąc sobie zdać jasnej sprawy z uczuć swoich, prosił jednakże ojca, żeby on wraz z nim jechał do Frankfurtu, zobaczyć co się ze mną dzieje. „Ależ widzieliśmy ich przed trzema dniami, mój

synu! — odpowiedź Augustowi ojciec — i opuściliśmy ich w dobrém zdrowiu.“ — „Jednak jedźmy, ojcze, bo mnie jakieś dziwne przeczucia dręczą: we śnie widziałem Rudolfa, pomocy mojej wzywającego, ja wierzę w sny, jako w zwiastuny, które nie zawsze klamią.“ Ojciec Rudolfa zezwolił na tę podróż, i w trzy godziny potém ojciec i syn byli przed bramami Frankfurtu zatarassowanemi, a z miasta rozlegały się zewsząd wystrzały. Nie łatwo było uzyskać wstęp do miasta, we wszystkich bowiem przybywających widziano buntowników; strach ma wielkie oczy, zwłaszcza w Frankfurcie. Nareszcie któryś z oficerów milicyi frankfurtskiej poznał Arnolda Kratz, jako obywatela spokojnego i znakomitego w swym kraju. Wpuszczono Kratzów do miasta, w którym wówczas odbywało się owo oblężenie wieży, a wszyscy opowiadali w mieście, że jakiś hrabia zabiwszy dwóch milicyjantów schronił się do owój wieży i wytrzymuje oblężenie. Wówczas to Kratzowie uzyskali, dzięki niesłychanym wysileniom, wstęp do owego domu naprzeciwległego wieży, i August zrobiwszy sobie z tektury tubę morską glos przesyłającą, mógł mi

przesłać radę, która mnie zbawiła; ja bowiem byłbym się był poddał na łaskę i niełaskę, a milicyja gotowała się na sprawienie holokaustu owym kolegom rannym przezemnie, i byłbym nie uszedł z życiem w takim wzburzeniu umysłów.

W Paryżu znów zdarzyło mi się razu jednego, żem najniewinniej w świecie koty zadarł z jakimś awanturnikiem, rębaczem żyjącym ze spraw pojedynkowych, i niezawodnie najętym na moje zgladzenie. Przyszło do zamiany kart z tym jego mością. Powróciwszy do domu czekałem na jego sekundanta; Augustowi znieczem się nie zwierzyłem, ale on czujny nadzwyczaj, dostrzegł jakąś zmianę we mnie zaszłą i zaczerpnął z niej jakieś podejrzenie. Udałem się do siostry mojej, aby uniknąć badawczego oka przyjaciela. Wówczas zjawił się sekundant i pytał się o hrabiego Reichenbach, nieznanego mu osobiście.

„Ja nim jestem!“ odpowiedź August.

„Pan przypominasz sobie, co zaszło pomiędzy panem a przyjacielem moim panem Zenonem de Bretton?“ pyta nieznajomy.

„Doskonale sobie przypominam—więc?“ odpowié August.

„Więc przyjaciel mój posyła mnie, abym się pana spytał, czy mu udzielić raczysz satysfakcyjã, panie hrabio? dotkliwa obraza zadana mu publicznie na bulwarach, nie może, zdaje się nam tutaj w kraju, być zmytã w czémsiś inném, jak we krwi; nawet przeproszenie nie może być przyjęte w podobnej sprawie!“

„Służę, ale pod tym jedynie warunkiem, że się rzecz odbędzie jutro raniuteńko o godzinie czwartej własku Bulońskim, o dziewiętej bowiem mam *rendez-vous* gdzieindziej!“

„Nie widzę z naszej strony zawady; a broń?“

„Szpada lub pistolety, wszystko mi jedno; zacznijmy od pistoletów, bo to pora wczesna, jeszcze się nie rozwidni dostatecznie, ale za pomocą latarni na piersiach, rzecz zdaje się pójdzie w wymienienie!“

„Oh! może się odbyć jak najpiękniej! — rzecz sekundant. — Więc już wszystko umówione, nie potrzebuję oczekiwać na odwiedzinę sekundanta pańskiego?“

„Ani téż pańskich odwiedzin już dzisiaj przyjąć nie będę w stanie: wyjeżdżam na spacer“
odpowié August.

Wystawcie sobie przyjaciele, August Kratz, daleko silniejszy i wprawniój bronią robiący odemnie, przyjął za mnie ów pojedynek,—wykradł się, zamówiwszy sobie sekundanta i lekarza, ubrany w suknie moje, w nocy z domu, i pod zasłoną brzasku, podobieństwa pomiędzy nami istniejącego, pojedykował się z latarnią na pierśiach, i na tamten świat wyprawił najętego na zgubę moję zapaśnika; gdy zaś do domu wrócił, obudził mnie słowami:

„Rudolfie! pan Zenon de Bretton przesyła ci ukłony?“

„Ha! przez sekundanta swojego? tak, oczekiwałem go“ odpowiadam.

„Nie, Rudolfie, przezemnie.“

„Jako? osobiście się tu zjawił? — spytam zdziwiony — to przeciw zwyczajom pojedykowym!“

„Zjawił się osobiście, ale w lasku Bulońskim, gdzie teraz leży zimny jak glaz, z przestrzeloną na wylot pierśią. Na drugi raz bądź ostrożniej-

szym Rudolfie, unikaj owych rębaczy. Zwracam ci suknie twoje, nazwisko i tytuł, które wszystko pozwoliłem sobie przybrać na kilka godzin.“

Wszystko pojąłem wówczas, wszystko!

„Auguście! i ty miałeś serce obejść się beze-
mnie w pojedynku? w sprawie śmiertelnéj?“
spytałem przyjaciela.

„Tym razem trzeba się było koniecznie obejść bez ciebie, nie byłbyś zezwolił na substytucyję. Wyrzutów nie rób i nie dziękuj, tylko się ubierz i wyjeżdżajmy na tygodni parę w Piryneje, żeby się rzecz utarła i nieprzyjaciele twoi nie spostrzegli się, że we mnie masz sobowtóra.“

Tak zrobiliśmy, jak radził August; ja zaś od téj chwili słyłem w Paryżu, zupełnie niezasłu-
żenie, za zawołanego szermierza; gazetami sława moja doszła aż do Barèges, i zrobiła mnie naj-
modniejszym owego lata człowiekiem; pocciwy August zaś, aby zatrzeć wszystkie ślady napro-
wadzić mogące na domysły, zgolił wąsy, fawo-
ryty, które nosił, jak ja, postrzygl nawet krótko
włosy, zupełnie do moich podobne i uczernił je
sobie. Ale i takim jeszcze się siostrze mojej po-
dobał. Powiedziałem Jadwidze, ile winna Augu-

stowi: nie dziw że go kochała, bo Orestes nie był dla Pylada lepszym przyjacielem, jak on dla mnie; a ja niczém nie mogłem wywzajemnić się bratu mojemu z ducha, jak życzeniem, aby on został szwagrem moim.

Ale dobry mój August tłumił w sobie uczucia, które w nim wznicily wdzięki, cnoty i przymioty siostry mojej,—tłumił je oddawna i cierpiał, walki z sobą staczał, już nie był tak poufałym z nią jak dawniej, stronił nawet od niej, przynajmniej nie chciał jój widywać bez świadków: bo się lękał własnego serca swojego, bał się, żeby uczucia nie przelały się lub objawiły przez słowa. Ja spostrzegłem że się kochają, że ich zobopólny pociąg do siebie zbliża, a głos rozumu, czyli raczej delikatności od siebie oddala w równej mierze. August nie miał tytułu prócz owego, którego bez pracy i nabytej wartości zyskać nie można; siostra moja nie miała majątku. „Szkoda że Jadwiga nie jest mieszczkańskiego rodu jak ja!“ myślał August. „Szkoda, że August nie jest ubogim jak ja!“ myślała Jadwiga. Martwić mnie zaczęło nareszcie owo położenie,—dla mnie było ono smutnym dowodem, że on nie

ufa dostatecznie jej rozumowi, i że ona nie pokłada zupełnego zaufania w jego szlachetności. Jednak przeczuwałem, że coś zająć musi, co owym młodym, tak się szczerze kochającym ludziom usta otworzy.

Cały kontynent Europy zamknął przed nami nieubłagany mój ojciec; musieliśmy się schronić do Anglii, i tam dopiero byliśmy zupełnie wolni od prześladowań. Najęliśmy porządne mieszkanie i zaznajomiliśmy się z rodakami, których w samym Londynie jest ze sto tysięcy, mniej więcej dobrze się mających. Niemcy pod każdym niebem chętnie pracują, a na żadnej ziemi do własnej nie tęsknią ojczyzny, przeto mogą obrastać w pierze pod wszystkimi klimatami. Więcie, że firma: *Reichenbach doktor medycyny i Kratz doktor chirurgii*, zdobyła sobie w dość krótkim czasie wielką wziętość; więcie także, w jaki sposób dzieliliśmy się pracą: zawsze obaj widzieliśmy, co jeden robi, i zawsze jeden z nas starał się pozostawać w domu, gdy drugi odwiedzał chorych. A tak mogliśmy się doskonale wyręczać nawzajem, ku wielkiej i w krótkim czasie doskonale uznanej wygodzie klientów na-

szych. To też nam się dość szczęście: pieniądz niełatwy do zdobycia tu w Londynie, gdzie tak silna jest konkurencyja, nie stronił jednakże od nas. Na nieszczęście, Jadwiga kaszlée zaczęła i traciła żywość cery swojej widocznie. Przypisywałem to wpływowi klimatu, nieodpowiedzialnemu stopniowi jój uczuć i jój poezyi; przypisywałem to tęsknocie do innego stanu, i życzyłem, żeby coś zaszło, coby przyjaciela mojego lub siostrę moję ośmielić mogło do większój ufności.

I to zaszło. Ojciec mój, wysłużywszy monarsze swojemu trzydzieści kilka lat, dostał dymisyją, a na jego miejsce mianowano ministrem majora hrabiego von *Itzenplitz*.

Ojciec mój, człowiek w najlepszych uniwersytetach wychowany, nadzwyczaj zdolny, prawnik i administrator, niezaprzeczenie bardzo zasłużony w swym kraiku, w którym najprzykładniejszy zaprowadził porządek, i mianowicie takie pozakładał szkółki, jakie później za wzór służyły wszystkim innym w monarchii pruskiej, pewno nie bardzo pochopnej do naśladowania przykładu danego przez drobne państwa; ojciec mój głęboko uczuł upokorzenie swoje, gdy się

widział w tak poważnych urzędach zastąpionym przez oficera piechoty, który pobierał nauki tylko w korpusie kadetów berlińskich, i to tylko do siedemnastego roku życia swojego, to jest do złożenia egzaminu oficerskiego. Ojciec zapadł w melancholiję, która w krótkim czasie charakter bardzo niebezpieczny przybrała. Żałował całego życia swojego błędów z okropną, serce rozrywającą skruchą, błogosławił pamięci swojej pierwszej żony, za życia tak mało uczczonej. Przedmiotem ostatnich dni życia jego było, żeby odrobić chociaż część złego, wyświadczonego dzieciom swoim z pierwszą żoną splodzonym. Dał się odrobić sekwestr ciąży na majątku Jadwigi, dało się cofnąć przekleństwo ojcowskie na nas spadłe; ale się nie dało znieść klątwy politycznej na niewinną głowę moją w skutek uwiezienia méj siostry z Dessau i obrażenia milicyjantów w Frankfurcie rzuconej. Ojciec nawet zapisał nam, czyli raczej, jeszcze za życia ciepłą ręką przesłał nam owe 60,000 talarów, zapisanych mu przez matkę naszą. Te pieniądze, wieść o chorobie ojca, te prośby o przeba-

czenie i błogosławieństwa doszły nas na dwa dni przed listem zwiastującym nam śmierć rodzica.

Plakaliśmy ojca z szczerą rzewnością, żalowaliśmy, że serce dopiero wtenczas przemówiło u tak mądrego, zdolnego człowieka, gdy dumą upokorzona została i dla ambicyi zagrodzone pole.

Oby był kochał choć cokolwiek dzieci swoje i Boga, który mu je dał, Boga! który go tak wielkimi obdarzył zdolnościami!

Teraz Jadwiga była bogatą, i odważyła się jeszcze więcej nieośmielonemu Augustowi okazywać przyjaźń swoją bez ogródki,—teraz się uważała za równą Augustowi, a ten się uważał jeszcze za coś niższego jak przedtém.

„Cóż bracie? chcesz zmusić pannę do tego, żeby ona tobie wyznała miłość swoją? Podobnej ofiary nie wymagaj od kobiety nigdy!“ Takimi słowami musiałem ośmielić Augusta do proszenia siostry mojej o rękę.

Więc wszystko w pogotowiu było do ślubu. Pozwolenie ojca Kratza i jego błogosławieństwa nadeszły; August najął piękny dom i umeblował go jak najokazaliej, zapowiedzie wyszły,—aż tu

w nocy poprzedzającej ślub, zaszły nieprzewidziane trzy sny cudowne, objawienia Boskie, które położenie nasze nagle i ze wszystkiém zmieniły.

V. Trzy sny.

Opowiemy te trzy sny niezupełnie tak, jak je opowiedział Rudolf, lecz szczegółowiej, tak jak je opowiedział świadek doskonale wiedzący, co się wówczas działo w umyśle ludzi, którzy tak cudownych doznali objawów Nieba, i w których serce Opatrzność spojrziała tak bystrym i laskawym wzrokiem.

Okolo północy, w izbie wielkiej, prawie zupełnie z mebli ogoloconej, łóżko jedynie, parę krzeseł i stolik zawierającej; siedział właśnie przed tym stolikiem młodzieniec wysoki, pięknej urody i pogodnego lica.

Książkę trzymał wręku grubą, poważną, oprawną w safian, z złoconemi brzegami, widać że to pismo święte. Oczami zatapiał się w owém piśmie, ale dusza zagrząść w niem nie chciała, chyba tylko chwilami; bowiem oblicze nabożnego mło-

dzieńca wyrażało jakieś uroczyste, a zarazem radosne zadowolenie, i wznosiło się od świętej książki ku niebu, rozjaśnione ujmującym wyrazem dziękczynienia, którego rzewności powstrzymać żadnym nie mógł sposobem.

Chciał się modlić duchem, a modlił się sercem. Bogu i taka ofiara miła; Bóg pragnie, aby i na tym padole płaczu człowiek czuł się szczęśliwym, i przedświty wiecznego, nigdy niekończącego się uniesienia, znajdował czasem w krótkich chwilach szczęścia doczesnego.

— Więc Ci dziękuję o Boże! za rozkosz doświadczoną w tej chwili! — rzekł nareszcie składając ręce swoje ów młodzieniec — Więc dziękuję Tobie, który jesteś jedynym źródłem wszelkich dobrych pomysłów, który udzielasz siły przeprowadzające pomysł w rzeczywistość. Ja od tak dawna pomysł ten pielęgnowałem jako oblubieńca swojego; przyjaciela tak doświadczonego, który jest uzupełnieniem mnie samego, którego z méj strony jestem uzupełnieniem, chciałem spleść z losem moim na ciąg tej całej wędrówki ziemskiej, tak ważnej i tak niebezpiecznej, bo nią zyskać można wieczność i stracić wieczność;

a Ty tylko wiiesz z pewnością, gdzie się zaczynają i kończą granice oddzielające dwie ostateczności. Jutro August będzie małżonkiem siostry mojej, a ja będę bratem i krewnym człowieka, który od lat tylu był mi bratem w duchu, opiekunem i dobroczyńcą.

Na czas długi zakreślona dla nas najpiękniejsza przyszłość, bo obaj kochamy ludzi jako istoty na największą zasługujące miłość po Tobie, któryś ich stworzył o Boże! i na to przeznaczył, żeby swém szczęściem chwalili Ciebie; a obaj kochamy naukę jako wypływ téj mądrości, którą nas raczył zbliżyć do siebie, jako potęgę do urzeczywistnienia celów Twoich odległych, ale pewnych doprowadzającą. Ja bez Augusta, August bezemnie małobyśmy znaczyli na tym świecie. On pojmuje z bystrością promienia, orjentuje się łatwo, dzielnego natychmiastowego czynu pragnie; ale zastanowić się dojrzałe, kombinować rzecz zrzeczą, przeniknąć połączenia wyników gienjuszów pomiędzy sobą nie lubi; jemu trzeba człowieka, któryby złapał w przelocie jego genialne pomysły i wypróbował, wypracował ich skuteczność. Ja jestem daleko mniej

praktycznym, mniej pomysłowym, ale więcej stałym, wytrwałym i pracowitym od niego. Jego unosi częstokroć gienjusz niezwykłą siłą intuicji po nad wszystkie błędy, i silnym połotem w te sfery, w których gienjusz najśmielsze umie zastosować pomysły trafnie, z ręcznie i z natychmiastowym pożytkiem dla ludzkości. Mnie niestety nie unosi gienjusz tak potężnie, nie umiem prawdy poznać ani zastosować tak szybko, ale za to posiadam siłę wytrwałości, jaka może tylko pospolitym talentom i dobrej woli dana, i nie raz zmuszam bystrego przyjaciela mojego do wzniesienia się i pozostania przez czas niejaki w sferach wyższych, w których mniej może praktyczności na chwilę, ale więcej zasobu na przyszłość i tak, razem możemy wielkich dokazać rzeczy, bo on ma potężniejsze skrzydła, ja zaś pracowitsze dłonie. Bez niego trudny byłby połot, bezemnie ciężka byłaby praca.

On szczęśliwym będzie. Jadwiga jest niezaprzeczenie jedną z najprzedziwniejszych istot, jakie w życiu swoim widziałem. Aby pozostać wolną, wzgardziła tém, do czego rzadko która kobieta przez całe nie wzdycha życie: władzą.

świetnością i bogactwem; a wolność swoją, piękność, młodość, przyrodzoną wesolość, nabyte rozsądek i talenta poświęciła człowiekowi, który sobie mozolne obrał powołanie, który jej nigdy wprowadzać nie będzie w ów świat płochy, żyjący pustym śmiechem, obmową, tańcem i strojami. Dzielną, wielkiego serca kobietą: podobnych nie wiele poznałem w życiu, a w mojej ojczyźnie żadnej.

Potem zerwał się Rudolf z krzesła i długo w słodkich pogrążony dumaniach, chodził po samotnej izbie swojej, z której do nowego mieszkania August przeprowadzić kazał już prawie wszystko, prócz niezbędnych na noc jedną mebli. Najmilsze obrazy przyszłego szczęścia domowego, podzielonego z siostrą i przyjacielem, przedstawiły się oczom wyobraźni Rudolfa i kołysały ją jak matka dziecko w kolébce śpiące; lecz w tém dwunasta wybija godzina na pobliskiej kopule świętego Pawła: jakieś nagłe znękanie opanowyywa zmysły młodzieńca,—napróżno sili się oprzeć jemu, napróżno przeciera oczy, wuszach tętni dzwonięcie jakieś ciche, wyraźne i przyjemne; świece gasną same z siebie, Rudolf

pada na łożę swoje zwalczony snem magnetycznym—usypia.

On sam nie wie jak długo spał: raz mu się zdaje że to wieki, drugi raz mniema, że to były tylko chwile—i ani powiedzieć nie może, czy się przebudził podczas snu tego, czy *to* co mu się wydało snem, było widzeniem, lub czy też widzenie snem było; bo wszystko drgało ni-
by jak złudzenie, a to złudzenie tak do rzeczywistości podobne, głębiej zagrzezło w duszę i pamięć, i sto razy się mocniej chwyciło serca, niż wszystkie dotychczas uczone rzeczywistości.

Naraz blask jakiś purpurowy zajaśniał w przestworze, dokąd sen lub też Bóg uniósł młodzieńca; a w uszach niebieskie zatętniły harmonije tak wdzięcznie i mile, że wszystkie nerwy jego przybrały słuchowych nerwów właściwość i drgały jak struny violi smyczkiem anielskim pociągane. Czegós tak lubego nigdy w swém życiu Rudolf nie uczuł; i chciał oczy otworzyć, by się majestatowi Boga przypatrzeć i usta otworzyć, by Twórcę tego wiecznego piękna całemi piersiami chwalić, ale nie mógł—aż całus chłodny i miły jak dotknięcie liściem świeżo rozkwitłej róży padł

na powieki i usta młodzieńca: a wtenczas młodzieniec otworzył oczy i w purpurowym brzaśku w przestworze niezmiernym unoszoną i stopami nigdzie się nie dotykającą, tylko obłoczków jeszcze świetniejszych stokroć od barwy najpyśniejszej purpury, wówczas młodzieniec ujrzał wysmukłą, prześliczną postać, w długą popielatą suknię obleczoną; a ta postać twarz miała bladą, smętną, ale tak ujmująco piękną i tak anielsko uśmiechającą się, że Rudolf zapłakał z radości gdy ją zoczył, i ręce ku niej wyciągnął i mówić chciał, ale nie mógł, bo mu łkania nie pozwoliły.

— Ty mnie poznajesz Rudolfie? — spytała postać głosem w harmonii niebieskiej szepczącym, a tak wyraźnym, jak głos kapłana, gdy pośród stu tysięcy ludu podczas processyi Bożego Ciała świętą odśpiewuje Ewangelią.

— Ty matko moja, tak jak cię widziałem po raz ostatni w trumnie, bladą, piękną, uśmiechającą się do dzieci twoich, które opuszczałaś! — odrzekł Rudolf i ręce wyciągnął ku matce, a w rękach takie uczuł pragnienie, jak język Ara-

ba uczuwa, gdy spieklą puszcę Sahary przebywa.

— Wierny, dobry mój synu! tyś nie zapomniał ani na chwilę obrazu matki twojej, i każde z jej słów pamiętasz. Ale spojrzij obok siebie Rudolfe, spojrzij kogo widzisz na prawo i na lewo?

Rudolf spojrział obok siebie: na prawo ujrzał Augusta na obłoku wspartego lazurowym, z oczami zachwyconemi, z twarzą rozjaśnioną jak w najpyszniejszym świetle bengalskim; a na lewo na śnieżnym obłoku unoszoną, ze skronią białym wiankiem uwieńczoną, ujrzał Jadwigę z słodkim obliczem, z włosiem jasnym, dziewiczo, skromnie zaczesanym; a z jej oczu jasnych, łagodnych, pryskały jak z śnieżnic Himalai promienie miłego, dzień rozsyłającego światła.

— August! Jadwiga! — rzecze Rudolf.

— Wszystko moje dzieci: August, Rudolf, Jadwiga,—wszyscy jesteście rodzeństwem, połączeni duchem ściśle; a ciało łączyć się nie powinno nigdy, gdy tak blisko spokrewnione dusze. August nie może być mężem Jadwigi: taka jest wola niebios, i wam ją zwiastuję tutaj.

A gdy to wyrzekła anielska postać, przystąpiła do Jadwigi, zdjęła jój z głowy wianek biały, co miał być ślubnym, i rzekła z niewypowiedzianą słodyczą:

— Poświęć, poświęć dla piękności téj ziemi, którą tam widzisz głęboko pod twojemi stopami, ten wianek,—poświęć go i rzuć na planetę krążącego w nieskończonych przestworach!

A gdy Jadwiga wzięła wianek i upuściła go w przestwór, wówczas wianek rozplół się w tysiące tysięcy i miliony milionów kwiatów, i gdy doleciał do ziemi, pokrył cały jój obszar kwieciami pysznym i strojnym, a miliony ptaszków zaśpiewało, bo wiosna najuroczystszy dar Boga, zabłysła od razu na kolebce dzieci Adama.

Potém zwróciła się anielska postać ku Augustowi, i zdjęła mu z palca ślubne obrączki na nim tkwiące, i dając mu je w rękę, rzekła:

— Synu mój pierworodny, poświęć te złote węzły ludziom, pomiędzy któremiś się zrodził, niech one ozłocą trawkę co na ziemi buja, i niech trawka dojrzeje i bogate wyda plony!

A gdy August upuścił złote obrączki na planetę krążącego w przestworze, wówczas obrą-

czki rozpadły się na miliony milionów kłosów, a gdy na ziemię przybyły, łany jej pokryły się złotymi plonami, z pośród których liczne stada przepiórek wzniosły radosny krzyk dziękczynienia ku niebu.

I anielska kobieta znów mówić zaczęła:

— Wy moje dzieci, co zdolni robić wiosnę i lato, upiększyć i wzbogacić ziemię, wy wróćcie na nią i podzielcie się pracą na różnych punktach. Rudolf niech idzie do Ameryki, gdzie znajdzie sposobność zastosowania pracy swojej dla dobra ludzkości; August niech bieży do Afryki, i tam niesie ulgę walczącym; Jadwiga zostanie w Europie i opiekować się będzie drobnymi, osieroconymi dziećmi ojca swojego: bo one w téj chwili już ani ojca, ani matki nie mają. Czuwać nad wami będę drogie dzieci moje, i znów was połączę, gdy spełnione będzie posłannictwo na was nałożone. A gdy na ziemię wrócicie, i ze snu się obudzicie, wówczas każdy z was spisze chwili téj obecnej wrażenia, i uda się do kościoła, w którym spełnić się miał ślub, i nawzajem udzieli sobie wiadomości tego, co tu się działo; abyście nie wątpili, że to było, co

istotnie *było*. Bogu zaś dziękujcie dobre dzieci za cud, dla was umyślnie zesłany, dla was umyślnie, by on was uchronił od popelnienia *zbrodni*. Żegnam was dzieci moje i błogosławie! serce matki będzie czuwało nad wami i chroniło was, może nie od nieszczęść niezasłużonych, ale przynajmniej od zasłużonej niedoli!

I gdy to rzekła miła, cudna postać, wówczas usta swoje zbliżyła do powiek Augusta, do powiek Jadwigi i do powiek Rudolfa, chłodnemi i świeżemi jak listek róży ustami, a powieki marzących zawarły się; znów zatętniały w uszach niebieskich harmonij akordy, ku ziemi chyliły się dusze w zachwyceniu trzymane; zmysły ich usnęły i powróciły uśpione na padół ziemski w ciała. A gdy przebudzili się Rudolf w swym samotnym pokoju, Jadwiga na swém panińskim łożu, August w piękném mieszkaniu, które był najął i wymeblował dla przyszłej swój żony i Rudolfa,—gdy Rudolf poczuł na swych wargach pocałowanie nieboszczki matki, gdy August nie znalazł na palcu obrączek ślubnych, a gdy Jadwiga spostrzegła, że wianek weselny zniknął;—wówczas wszyscy trzej przypomnieli sobie sen, jaki mieli i polece-

nie, jakie im dane było, i płacząc straconych nadziei, a zarazem uroczystém usposobieniem tknięci, każdy z nich z osobna spisał nocy téj dziwne i cudowne wrażenia.

I wszyscy zeszli się w jednéj chwili, za osobistém idąc natchnieniem, w niezmiernym a prawie zawsze bezludnym przybytku świętego Pawła; a gdy sobie zdumieli wręczyli opis cudownej nocy, wówczas już nie wąpili ani o prawdziwości snu tego czy widzenia, i pewni byli, że to wyrok Boga im został objawionym.

Więc się poddali bez szemrania wyrokowi owemu, i pogodzili się z smutną myślą rozstania. Zaniechano przyborów do ślubu i do wesela, odproszono gości i do wyjazdu przygotowania robiono.

Za dni trzy nadeszła do Rudolfa wiadomość, że pani hrabina Reichenbach, druga żona ojca jego, matka dwojga braci i dwóch sióstr jego przyrodnych, nagle żyć przestała, właśnie w nocy téj, w której tak dziwny sen, czyli téż widzenie uniosło Augusta, Rudolfa i Jadwigę z Londynu w owe niebieskie sfery, z których ziemia wyda-

wala się tylko ogromnym balonem w przestworze krążącym.

Nowy dowód wieszczęj cudowności snu tego

Ale jaką to *zbrodnię* byliby popełnili August i Jadwiga, łącząc węzłem małżeńskim losy swoje? Czemu cień matki Rudolfa i Jadwigi przemawiał do Augusta z taką tkliwością, i nazwał go synem swoim pierworodnym?

Nie zgłębiali tego brat, siostra i narzeczony, tylko się z pokorą poddali rozkazowi anielskiej postaci.

Zresztą żadne domysły, żadne domniemywania nie mogłyby doprowadzić na żaden ślad prawdy. Nie zgłębiano wyroków Nieba, tylko się im poddano z pokorą, ufając że późniejsze wypadki lub też zrządzenia losu usprawiedliwią mądrość sądu Boga.

VI. Lat sześć potem.

Pod piórem pisarza lata umykają na papierze tak szybko i raźnie, jak się chmury przemykają na błękitnie nieba,—i w ręku pisarza prędkiej bieży pióro niż skrzydło najlotniejsze pędziło, z któ-

rego wyrwaném zostało, żeby nawet było orlém. Więc téż korzystając z tego przywileju, opuścimy na chwilę Londyn i pobiegnijmy za naszymi przyjaciółmi Augustem i Rudolfem do Afryki i do Ameryki, i za naszą przyjaciółką Jadwigą, która wróciła na miejsce urodzenia swojego do Dessau.

August Kratz doktor berliński, zurichski i paryżki, w kilka miesięcy po przybyciu swoim do Algieru, popracowawszy jako lekarz-ochotnik w szpitalu wojskowym, został mianowany lekarzem batalijonowym i zaliczonym do legii cudzoziemskiej, z którą przez rok cały podzielał wszystkie niewygody, trudy, niebezpieczeństwa i upokorzenia, jakie zwykły być udziałem wszystkich legij cudzoziemskich, stojących w usłudze obcej sprawy.

Ale zniósł to wszystko mężnie i walecznie nasz August, bo wszystko przewidział, na wszelkie był przygotowanym zawody: on nie dla zrobienia karyjery wstąpił do obcego wojska, lecz dla wyćwiczenia się w operacyjach, dla zapomnienia w trudach i obowiązkach wojennych ciosu zadanego szczęściu swojemu; nareszcie poszedł do Afryki, bo mu tak rozkazało Niebo.

Wszystko znośli z odwagą i wkrótce dał się poznać w całej legii i w całym korpusie, nie tylko jako zręczny chirurg, czujny lekarz, lecz także jako dzielny żołnierz, umiejący zagrzewać wiarusów do boju i do ponoszenia cierpliwie trudów wojennych. Wszystkim przewodniczył przykładem, i uznanym został przez wszystkich jako dzielny człowiek. W niespełna dwa lata ozdobiono go krzyżem legii honorowej i mianowano lekarzem pułkowym; później zaś po bitwie pod Isly, w czasie której marszałek Bugeaud mianował go sztabslekarzem *per interim*, August Kratz ranny w boju za sprawę Francji, uzyskał małą naturalizacją i ważną posadę w dyrekcji szpitalów wojskowych. Od tej chwili zaczęła się inna, świetniejsza jeszcze era w życiu żołnierskim Augusta. Armija francuzka zawdzięcza mu prawie wszystkie ulepszenia, zaprowadzone od ostatnich lat w służbie szpitalnej i ambulansowej, wszystkie spojedynczenia przyjęte przez wszystkich młodszych lekarzy w opatrywaniu najniebezpieczniejszym ran, które dotąd przez starych lekarzy (wszystko *systematycznie* utrudniających, dla zrobienia z medycyny i chirurgii sztukę, jak

może być najniebezpieczniejszą), leczone i opatrzone były przyrządami skomplikowanymi, drogimi, wiele nader czasu i miejsca niepotrzebnie zabierającymi. Wielu rzeczy poczytanych dotychczas za niezbędne, on wykazał bezużyteczność lub szkodliwość; wielu rzeczy za szkodliwe uważanych, on udowodnił niewinność, jak na przykład tanićj bawelny, zastępującej najwyborniej drogą skubankę. Do tego doprowadził chirurgiją wojskową, że operacje najtrudniejsze przez rany ukoniecznione, a dotychczas dopiero w szpitalach, gdy ranny sił swoich część wielką stracił, przedsiębrane, wykonywane były przez biegłych chirurgów natychmiast na placu boju, częstokroć pod ogniem nieprzyjaciela; dobroczynne zmiany zaprowadził w ubiorze i żywności żołnierza, dotychczas niedość dobrze zastosowane do kaprysów afrykańskiego klimatu; rozpowszechniał wiedzę skuteczności środków lub szkodliwości wpływów przez dziennik lekarski, założony przez siebie w Algierze; słowem, tak się dobrze zasłużył Francyi, że ta go obdarzyła po pięcioletniej służbie, za ważne usługi wyświadczone ludzkości, przywilejem zupełnej naturalizacyi, i że go

minister wojny posunął na urzędnika legii honorowej i na lekarza korpusnego z rangą brygadiera.

Teraz już był dygnitarzem armii francuskiej August Kratz, ale ani trudy i obowiązki, ani zawody i honory nie stłumiły w tym wybornym człowieku przywiązania dla ojca, Rudolfa i Jadwigi i dla rodzinnego kraju. Nie przestawał on znosić się z niemi często, pomimo ciągłych zatrudnień, i nareszcie uzyskał urlop na sześć miesięcy i paszport w Nassauskie, który nie wahał się wizować pełnomocnik kraju tego, w Paryżu przebywający. Poszedł spocząć po sześcioletnich znojach i bojach pod rodzinną strzechę,—wrócił do ojca śniady, ogorzały, ozdobiony pięknym orderem i wysoką rangą; ale dość biedny, bo płaca wyższych urzędników Francji nie była wówczas w stosunku odpowiedzialności posiadaczy; a on jeszcze dzielił się tą płacą z mniej bogatymi, w wojsku francuskim pozostającymi ziomkami.

Jadwiga Reichenbach, gdy wróciła do Dessau pod zasłoną inkognita, zastała rodzeństwo przy-

rodnie swoje w oplakany stanie, powierzone płatnej obcej opiece i w położeniu majątkowym z biedą graniczącym; zmarła bowiem macocha od lat kilku chora, nie żałowała sobie niczego, podróżowała po wszystkich źródłach mineralnych, korpus cały medyków za sobą oprowadzała po Francyi i Włoszech; słowem, żyła nad stan; i gdy uległa śmierci, przeciw której wszystkimi najkosztowniejszymi i najnierozsądniejszymi walczyła środkami, szczupły bardzo majątek dzieciom, których było czworo, pozostawiła.

Przyrodnie rodzeństwo powitało anielską Jadwigę jak zbawicielkę. Młoda, tak srodze w nadziejach uroczych zawiedziona panna, poświęciła się całkiem wychowaniu dzieciąt ojca swojego, uregulowała interesa majątkowe i przeniosła się do Wiednia, zabrawszy z sobą braci, siostry i ową podeszłą krewną, która jój od lat trzech towarzyszyła. Wszystko, co tylko w jakimkolwiek języku napisano o wychowaniu dzieci, było przedmiotem najsumienniejszych badań i roztrząsań ze strony Jadwigi; obdarzona wielką pamięcią, wyobraźnią i niepospolitym sądem, umiała się swojego posłannictwa przejąć ważnością,

i dla niego poświęciła wszystkie rozkosze życia, których owe dzieci podzielać nie mogły. Tylko corocznie na miesiący dwa a nawet trzy, Jadwiga z rodzeństwem i z starą ciotką dojeżdżali w Nassauskie do Reingau, gdzie im ojciec Kratz w pośrodku parku w zachwycającym miejscu kazał wystawić prześliczny domek wiejski, zamieszkały jedynie tylko w lecie przez Jadwigę, owe dzieci i ich służbę. Młoda kobieta tęskniła do Reingau, jak do jakiego Eldorado; a stary Kratz zawsze samotny, tęsknił do przybycia Jadwigi, jak do najszcześniejszych chwil życia; i zawsze każdego roku przyjął gości nową jakąś niespodzianką, nowym, sztucznym upiększeniem miejsca tego już przez naturę tak uroczego. A często tu pod konarami rosochatych drzew i nad brzegiem hucznych strumyków rozmawiano o nieobecnych, w dalekich strefach pracujących dla ludzkości i nauki; i tu Jadwiga z bogactwem nauką i doświadczeniem, skreśliła owe miłe pisma, najświętszą techną bogobojnością, które ją stawiają na równi z naszą Hoffmanową Tańską. Tak przeszło lat sześć: już dzieci dorosły i wypadło pomyśleć o wyborze zawodu dla

chłopców, przedewszystkiém bowiem na ludzi świata użytecznych Jadwiga kształcić chciała braci swoich szczupłym wyposażonych majątkiem. Już znowu kolonija Reichenbachów jest w Reingau i oczekuje przybycia Augusta i Rudolfa.

Doktor Rudolf Reichenbach puszczając się z Londynu do New-Yorku. nie miał jasnego wyobrażenia o potrzebie téj podróży i o missyi, którą spełnić miał w odległej Ameryce; ale głosu Nieba usłuchał, poddał się losowi i zaufał mądrości boskich wyroków.

Rudolf pracujący dotychczas najchętniej w téj dziedzinie nauk przyrodzonych i lekarskich, która była najspirytualniejszą a zarazem najciemniejszą, silił się oddawna na odgadnięcie wartości węzłów, łączących pewne z niepewnym, świat oczami ciała widzialny, z niezmiernymi obszarami tylko wzrokiem ducha odgadywać się dającymi, a jednak tak potężnie oddziaływającymi na stan cielesny stworzenia. Nie raz już zastosował magnetyzm zwierzęcy, w który usiłował silnie uwierzyć, do chorób nerwów i umysłu,

będących szczególnym przedmiotem jego poszukiwań i starań; ale korzyści i skutki odnoszone przez niego z magnetyzmu zwierzęcego, bardzo były mało znaczącemi w stosunku nadziei rokowanych dla mesmeryzmu w najnowszych czasach przez niejednego z najsumienniejszych badaczy przyrody. Nie słabości siły magnetyczno-zwierzęcej w organizmie rozlanój, lecz słabości własnej wiary, własnego ducha przypisał Reichenbach dotychczasową bezskuteczność usiłowań swoich, nie dał się nią zbić z toru badań swoich, i im były mozolniejsze, tém więcej jego zaostrzały usilność. Rudolf należał niezaprzeczenie do rodzaju ludzi, których przeciwności do większej jeszcze pobudzają wytrwałości; on tak skąpo wynagradzany dotychczas powodzeniem w poszukiwaniach, nie zwątpił o ich skuteczności, lubo bardzo często w najlepszym przyjacielu swoim Auguście, w téj mierze żadnego nie znalazł ośmielenia. Kratz z przyrody żywy; szybkich wyników pragnący, nie raz odradzał Rudolfowi od tego zapuszczania się w badanie rzeczy nowych, dotąd zanadto grubą mgłą tajemniczości pokrytych. „Po co tu badać rzeczy nieznanych,

niepewnych, kiedy one zwodnicze niewiedzić na co się przydadzą; lepiej daleko znanych już i pewniejszych rzeczy wydoskonalić zastosowanie dla dobra ludzkości. Najczęściej, mój Rudolfe, w rozpoznawaniu tajemniczych, pozazmysłowych rzeczy przypadek więcej ma rozumu od woli.“ Tak nie raz przemawiał August, a Rudolf zgorszony, odpowiadał: „Na nic się nie przyda wiadomość rzeczy niepewnych dotychczas? przebóg! Auguście, uznaj że się mylisz. Alboż nie wiesz, że każda wiadomość, każda tajemnica wydartą przyrodzie jest już dobrodziejstwem, każda zdobycz naukowa prowadzi do dobrego. A cóż jeszcze rzeczy nieznanych na tym świecie? Stosunek obszaru wiedzy leżącej jeszcze po za obrębem nie tylko doświadczeń i badań, ale nawet przypuszczeń naszych, do obrębu wiadomości przez nas posiadanych ma się tak, jak przestrzeń stałego ładu naszej ziemi, do owój, na oknie mojem stojącej doniczki, w której kwitnie tulipan.“ — „Ale więcej świat zyskuje siłą dobrze wywartą na uprawienie doniczki, jak rozpromienieniem sił drobnych po całym wielkim przestworze!“ zarzuci znów August. Każdy z przy-

jaciół pozostał przy swojej opinii i przy własnym sposobie działania. Ale nie zagrzął Rudolf Reichenbach w uganianiu się za *nieznanemi, niepewnemi* rzeczami w ten sposób, żeby dla bystrego i wiedzy chciwego umysłu, urok przestały mieć rzeczy *pewne*, zastosować się dające z korzyścią dla ulgi i dla dobra człowieka. Tylko za nadto ciasno było poetycznej téj naturze obracać się zawsze tylko w ograniczonej sferze rzeczy znanych i stosowalnych,—i kiedy tylko mogła, wyrывała się w sfery pozazmyslowe i krążyła w nich z widoczném ulubieniem.

Ale nie tylko w magnetyzm zwierzęcy, w jasnowidzenie, w wieszczę przeczucie wierzył Rudolf Reichenbach; on wierzył jeszcze w coś więcej, czego prawie nie śmiem wyjawić, chociaż w to wierzyło wielu nader ludzi, a pomiędzy niemi wyliczę Göthego, Savignego, naszego Tadeusza Czackiego, Dickensa, i wielu mniej znanych a poszanowania godnych, niedawno zmarłych lub jeszcze żyjących mężów mógłbym tu wymienić.

Najoświecieńsza u nas klasa narodu mówiła jeszcze przed rokiem w sposób tak pogardliwy o rzeczy będącej przedmiotem niniejszych kilku

słów, że żaden autor wyrabiający sobie opinią u publiczności, żeby najodważniejsze w sobie serce nosił, nie ważył się tykać jój z śmiałością, lubo w duchu wiedział, że i ta klasa nie dalej przekonai swych pewność dosuwa, jak do słów tylko; w głębi serca bowiem nie jeden tego grona członek przy zdarzonej okoliczności tak samo wrażliwym się okaże, jak prostak najpospolitszy. To znaczy, że dusza nie raz mu na ramię wleci, gdy nocną porą myszka w ciemności zapukuje.

Przed rokiem jeszcze, nim nas porwał wir stolikowy dziwnym jakimś prądem, dążący z Ameryki na wschód, mówić o *duchach*, byłoby to wykroczyć przeciw postępowości, przeciw owój promiennej, pozłocistej a powierzchownej oświecie, która niestety stanowi jedyną cywilizacyjną cechę naszych sfer wyższych.

Ale zjawia się stolik, niezmiernie wiele zyskuje zwolenników, nawet pomiędzy temi, którzy powierzchownie tylko znają wartość sił przyrody już odgadniętych, już doskonale w skutkach obrachowanych, których ciekawość do rzeczy *niepewnych*, nie była powinna tak okropnie dręczyć, bo jeszcze hardzo niedokładnie znają rze-

czy *pewne*. Znika nieśmiałość, niewiara,—nastaje panowanie szalu łatwowierności, najwykwintniejsze mózgi poddają się rozsądkowi, woli i natchnieniu drzewa w rozmaite kształty obrobionego. *Fiat lux et facta est lux!* Dziś już można mówić o duchach, nawet wolno z nimi rozmawiać, wolno ich radę uszanować, rozkazu usłuchać.

Otóż Rudolf Reichenbach wierzył już w Londynie przed dziesięcią laty w wpływ duchów nieboszczyków na los ludzi.

Nie opierał téj wiary prosto tylko na płochych domysłach, lub na jakiejś niewieściój chęć zabawienia nerwów, bałamucenia wyobraźni ludzającymi a nieznanymi wrażeniami—bynajmniej. Reichenbach w ciągu życia swojego zawsze czuł, czujny, uważny, kilka razy świadkiem był zjawisk nadzwyczaj zastanawiających, i na najcudowniejsze domysły o istności jakiegoś węzła pomiędzy żyjącymi a nieżyjącymi naprowadzających.

I tak, w Szwajcaryi jeszcze Reichenbach nao cznym był świadkiem następującego zdarzenia:

Niewidomy poeta Pfeffel miał przy sobie młodego teologa protestanckiego nazwiskiem Billing, służącego mu zawsze za przewodnika, czy to w domu czy po za domem. Pewnego dnia, gdy przechadzali się po ogrodzie, Pfeffel zauważył, że ręka przewodnika, na której się wspierał, bardzo silnie drżała, ilekroć przechodzili koło pewnego miejsca. Zdziwiony tém, pytał go o przyczynę i po długim dopiero naleganiu zdołał wydobyć odpowiedź od swego towarzysza. Teolog wyznał, że przechodząc przez owo miejsce doznaje w całym organizmie jakiegoś wrażenia mimowolnego i niepojętego, które zawsze go przejmuje w miejscach, gdzie leżą zagrzebane szczątki ciał ludzkich. Powiadał nadto, że w nocy w miejscach takich widzi zawsze cienie, kształty rozmaite, światło mgławce i tym podobne dziwne rzeczy.

To wszystko niedorzeczności, przesady i przywidzenia—pomyślał sobie Pfeffel i postanowił koniecznie wyleczyć teologa z tego przywidzenia. Tęj saméj jeszcze nocy, dla dokonania zamiaru, poeta z przewodnikiem wyszedł do ogrodu.

Gdy się zbliżali do owego miejsca, Billing przerażony oświadczył, że widzi słabo-niebieskawe światełko krążące i jakoby tańczące po nad ziemią. Gdy podeszli jeszcze bliżej, rozróżnił światłą, ognistą postać jakby ducha jakiegoś. Opisywał widziadło, że przedstawia mu się pod formą kobiety jedną ręką trzymającej dziecko na piersiach, a drugą prawą groźnie w górę wzniesioną; dodał nadto, że postać owa wznosi się prosto, nieustannie nad wzmiankowanym miejscem, a nogami ziemi nie dotyka. Żadną miarą nie chciał młodzian zbliżyć się do owego widziadła: więc Pfeffel sam poszedł w kierunku w którym się ukazało, uderzając laską w postać, i przeszedł wskrós przez nią; zdała zaś patrzącemu Billingowi zdawało się, jakoby poeta kroczył śród płomieni ognistego słupa, który się rozwarł, dając mu przejście, i potem znów do dawnego wrócił kształtu. Przez kilka miesięcy powtarzano doświadczenia w tém miejscu: przywożono doń Billinga z zawiązanymi oczyma, ale teolog zawsze, gdy stanął w pobliżności fatalnej sceny, drżał na całym ciele i prawie w konwulsyje wpadał, czy miał oczy zawiązane czy nie. A dzia-

ło się to wobec wielu ludzi ukształconych, przywoływanych umyślnie na świadków. Dziwna rzecz, że Billing w porze dziennnej stać mógł godzinami całymi na téj fatalnej piędzi ziemi bez uczucia najmniejszego wrażenia, a w nocy odkrył je natychmiast, czy miejsce było zamaskowane, czy oczy jego zasłonięte. Billing zawsze w porze nocnej toż samo spostrzegał widziadło, z którego, prócz niego, nikt z licznie zebranych świadków nie dojrzyć nie mógł. Młodzian upornie obstawał przy swoim i twierdził, że w tém miejscu trupy pochowane być muszą.

Nakoniec władze się wzięły i nakazały pokryjomu, ale w obecności świadków i biegłych robić poszukiwania. Jakie było zadziwienie wszystkich, gdy w tém miejscu, które było wyschlą i zarzuconą kamieniami i piaskiem studnią, znaleziono na jakie piętnaście stóp w lonie ziemi, kości ludzkie, które biegli lekarze uznali za szczątki szkieletu wysokićj kobiety i małego dziecka. Miednica kobiety jeszcze była prawie w całości, a w piasku przechowała się dość dobrze czaszka dziecięcia. Wyjęto te kości w zupełności, dól przesypano ziemią i zrównano, a

gdy potém w nocy przyprowadzono teologa w to miejsce, pomimo kilkakrotnie powtarzanéj próby, widziadło już się nie zjawilo.

Ale nie koniec na tém. Rząd kantonu Zurich, w którym się to wszystko działo, nakazał jak najściślejsze śledztwo, koniecznie chciał wykryć, kto były osoby, których szkielety znaleziono nieprzetrawione jeszcze, a oczywiście bez trumny pochowane.

Śledztwo wykazało, że przed trzydziestą laty znikła nagle, bez śladu żadnego, młoda, cudnie piękna, wysokością zastanawiająca osoba, z Wadenschwil miasteczka położonego nad jeziorem Zurich,—wykazało obok tego, że przed tylą laty posiadał rzeczony ogród pod Zurich i dom przyległy, stary rozpustnik, znany z rozwiązłości, a zbogacony podobno handlem niewolnikami w Ameryce; nareszcie wykryło się, że ten rozpustnik znalezionym był jednego pięknego rana przed dwudziestą laty powieszonym w sypialni swojej, i że tenże testamentem przeznaczył całą swoją pozostałość szpitalowi sierot w Zurich, za co uzyskał pogrzeb w święconéj ziemi, a nawet pomnik jeszcze istniejący.

Udano się do ostatniej, aż zanadto przekonywającej próby. Kości znalezione w zarzuconej studni wspomnianego ogrodu, przeniesiono pokryjomu na cmentarz zurychski, i pochowano je w grobie samobójcy, dawnego właściciela ogrodu. A potem przyprowadzono pana Billing nocną porą do tego cmentarza. W pokliskości mogiły zadrżał teolog, śmiertelne poty na niego wystąpiły, żadnym żywym sposobem przystąpić nie chciał dalej, i drżąc cały, oświadczył, że widzi nad mogiłą płomienne postaci mężczyzny wiszącego i kobietę przebijającą dziecko i siebie nożem.

W kilka tygodni potem umarł Billing w skutek doznanego wzruszenia, ale przed śmiercią błagał żeby go nie pochowano na cmentarzu, na którym spoczywają szczątki widziadeł, których życie jego padło ofiarą.

Otóż fakt, któremu nie jeden z czytelników odmówi wiary, a który jednakże tak jest pewnym, jak jest pewnym, że słońce świeci w tej chwili, gdy to spisuję. Rudolf był razem z wieloma innymi świadkiem wszystkich prób i doświadczeń, dokonanych na miejscu; znanym mu był poeta

Pfeffel doskonale, a w jego ramionach umarł teolog Billing; on ani na jedną chwilę nie wątpił o wiarogodności tego okropnie dramatycznego zdarzenia. Nawet August Kratz doktor chirurgii, przymuszony wierzyć tylko własnym zmysłem i hołdować niewolniczo najdotkliwszój, najbrzydszój częstokroć rzeczywistości, przyznawał, że żadna niewiara nie ostoi się w obec tak przekonujących dowodów jakie *w dziwném jasnovidzeniu* Billinga stwierdzone zostały pewnikami *cudowności*, jeszcze nieodgadniętymi z swój *przyrody*.

Więc Rudolf Reichenbach nie oparł się dowodom tak przekonującym, zajął się nadzwyczaj tém zjawiskiem, nie jedyném wprawdzie w dziejach tajemniczych mistycyzmu, ale przez niego od początku aż do końca tak dokładnie sprawdzaném. że najlżejsza wątpliwość w jego nie pozostała duszy. Uwierzył w całej sile tego słowa—*uwierzył*, i odtąd z niepowściągniętym zapalem oddał się śledzeniu fizyologicznemu wyższój, oczom profanów, natychmiastowych sprawdzań pragnącym, niepodpadającój sfery.

Czy autor tych pamiętników, spisanych tu w Warszawie w roku bieżącym 1854, wierzy w zjawiska owe nadprzyrodzone, które z takim ulubieniem przytacza na dowód zdrowia intelektualnego osób dawniej mu znanych i przezeń poważanych? — takie pytanie wykwiła zapewnie z niejednego umysłu te pamiętniki czytających. Nie odpowiem bezpośrednio na to pytanie, tylko korzystając z przywilejów mozolnego zawodu autorskiego, przeniosę czytelnika na brzegi Wisły i w czas obecny, właśnie na początek bieżącego roku.

Co się stało na początku stycznia tego roku, tu nieopodal od Warszawy, to każdy dobrej woli, trzeźwego i nieplocheho, lada czém zrazić się dającego umysłu człowiek, sprawdzić jest w stanie, byleby tylko chciał, ale *chciał* mówię, jak dzielni ludzie chcieć potrafią. Opowiem to w krótkich słowach: We wsi Kozery, tuż pod Grodziskiem, trzy mile od Warszawy, umierała na suchoty pracowita, uczciwa, a dzieci swoje namiętnie kochająca, żona dozorcę dróżników przy kolei żelaznej, niejakiego Mścichowskiego, także bardzo dobrego i trzeźwego człowieka. Żona

umierała w chacie, którą był najął mąż w samejże wsi; a dwoje dzieci najstarszych przy niej pozostawało: były to córki, z których iedna miała szesnaście, druga czternaście lat,—a czworo mniejszych dzieci ojciec pozostawił w domku dróżniczym, leżącym obok kolei, o dobrą wiorstę od wsi.

Biedna matka uczuła, że jej siły nagle słabły, że jej dech ustawał i życie krzepło; pojęła, że śmierć nadchodzi. Prosiła tedy męża, żeby jej raz jeszcze pozwolił uściskać przed zgonem owe małe dziatki, które pozostały w domku dróżniczym. Ale ciemno było okropnie na dworze i tak wielka zawierucha, że w jednej tej nocy cała kolój śniegiem zasypaną została; więc ojciec nie chciał wystawiać zdrowia drobnych dzieci na niebezpieczeństwo, i pocieszał żonę mówiąc, że ta jej słabość przeminie, że jutro będzie czas na widzenie się z dziećmi. Ale ona się napierała, bo już wyraźnie widziała zbliżający się koniec; więc ojciec wysłał swoje starsze córki do dróżniczego domku po dziatki i pozostał z umierającą. Nie łatwo było biednym, zapłakanym dziewczynom przekopać się przez takie śniegi i za-

wieje do domku dróżniczego; a gdy tam sta-
nęły, znalazły owe małe dzieci płaczące w nie-
bogłosy, i utrzymujące, że właśnie w téj chwili,
była tu u nich matka, ucałowała ich wszystkich,
pożegnała się z nimi czule i mówiła, że w tam-
ten świat idzie i już nigdy nie wróci. Utulić nie
można było dzieci; służąca zaś z nimi pozosta-
jąca, nie widziała widma, tylko słyszała sziochy
i jęki, i spostrzegła, jak wszystkie dzieci odrazu
plakać zaczęły, w jedną spojierały z łóżek swo-
ich stronę, jak się pięły w górę, i jak najmłod-
sze uniosło się zupełnie w powietrzu, jak gdyby
je ktoś niewidzialny był podniósł.

Starsze córki przestraszone, natychmiast wró-
ciły do chaty na wieś, i znalazły matkę swoją
umarłą. Ducha oddała właśnie przed kwadran-
sem.

Zdarzenie, które opowiedziałem, przez wielu
świadków stwierdzone, sprawiło w całej okoli-
cy wrażenie niewielkie, bo się stało *w niższej*
sferze ludzkości, niemającej żadnego poetyczne-
go uroku dla ludzi naszej wyższej sfery, która
czerpie zasoby wiedzy, wiary i umu zdaleka lub
tęż z wysoka, ale nigdy z źródła prawdy.

Ale przypuśćmy, że ktoś, co ma rozum i sąd zdrowy, sprawdził wiarogodność opowiedzianego, *znaczenie cudowności* posiadającego zdarzenia, któż wówczas wątpić może o istności jakichś węzłów, łączących świat ziemski z nadziemskim?

Powróćmy do Rudolfa Reichenbach. On ciągle pod wpływem wrażenia, które nań wywarło jasnowidzenie Billinga i wiele innych podobnego rodzaju niemniej przeświadczających, lubo mniej dramatycznych wydarzeń,—nie wpadł w zabobon, nie wyprowadzał z nich gawęd cudackich, plonnym przestrichem gawieź wrażeń chęciwą przejmujących; lecz starał się wytłumaczyć je magnetyzmem zwierzęcym: do czego ułatwiał mu sposoby słynny na świat cały, a poznany przez niego w Paryżu magnetyzer baron Dupoté D. M., ale pomimo najsumieniejszych starań, ani w Paryżu, ani potém w Londynie, nie doznał z objawów magnetyzmu zwierzęcego nic, coby go dostatecznie przeświadczyć mogło o wpływie, jaki *umysłność* wyrzucić zdoła przez magnetyzm zwierzęcy na świat pozazmysłowy.

Niestety! i najsilniejszej wierze trzeba nowych zasobów życia. Reichenbach już wątpić i wahać się zaczynał, kiedy cudowny sen, którego szczególnie zastanawiające opisaliśmy, na nowo w nim wskrzesił z zakłęcia wiarę w cudowność, pielęgnowaną w głębi duszy, i ogromne siły duchowości w nim zbudził.

Więc Rudolf Reichenbach dąży do Ameryki, nie wiedząc jaka go tam czeka misyja, staje w New-Yorku, tam rozpoczyna praktykę jako lekarz, daje się poznać w krótkim czasie rodakom tam osiadłym, zdobywa praktykę, która się stała znakomitą, gdy febra żółta, owa okropna klęska, Amerykę tak często nawiedzająca, wybuchła w mieście i szerzyła przestrah na cały kraj. Wówczas Reichenbach lecąc tę chorobę zupełnie inaczej, jak dotąd była leczoną, wiele nader chorych ochronił od śmierci; zwrócił na się uwagę publiczności, fakultetu lekarskiego, a następnie i rządu: został powołanym na profesora w fakultecie lekarskim, następnie i na dyrektora kliniki. Wkrótce potem Rudolf oddany całkiem nauce i sztuce lekarskiej, wyleczył *magnetyzmem zwierzęcym* z epilepsyi jakąś pannę Reichel, oso-

bę wysoce usposobioną do czułości magnetycznej, i posiadającą odwagę niesłychaną między płcią swoją. Ta osoba obdarzona była też samą siłą jasnowidzenia *grobowego* co i Billing: w każdym grobie lub na każdym miejscu, w którym trup był pochowany, widziała światło wznoszące się nad powierzchnią ziemi, i grób jakby płomienném otaczające tchnieniem. Im świeższy był grób, tém mocniejsze światło, a zatém bynajmniej na karb fosforyscencyi kości nieboszczyka nie można było spędzić przyczyny tych objawów; bo gaz wodorodno-fosforyczny, rozwijający się z rozkładu kości i zapalający w powietrzu atmosferyczném, błędnie owe dla każdego widzialne wyziewa dopiero wtenczas, gdy rozkład zupełny ciała nastąpi pod *niegłęboką* warstwą ziemi; na pobojuwiskach częściej daleko niż na cmentarzach, gdzie trupy dość głęboko pod ziemią są zakopane.

Reichenbach brał pannę Reichel z sobą na wszystkie cmentarze Ameryki, i przekonał niedowierzających Amerykan, że ta osoba obdarzoną była jasnowidzeniem grobowém; nawet podczas swych podróży Reichenbach znalazł pięć

innych osób magnetycznie drażliwych, i przyłączywszy je do swego towarzystwa, robił z nimi rozliczne doświadczenia. Wszystkie te osoby widziały nie tylko płomieniste postacie na grobach, ale czulość posiadały zdumiewającą na każdy tak wewnętrzny jak zewnętrzny wpływ; na przykład, umiały rozpoznawać myśli obecne wielu osób, czytać wiele rzeczy, które w ich pamięci się znajdują, zupełnie jak ów sławny pisarz i professor niemiecki Zschokke, który ten dar posiadał do najwyższego stopnia rozwinięty. (Obacz autobiografią profesora Zschokke, przetłumaczoną na wszystkie europejskie języki).

Czulki (*les sensitives*) doktora Reichenbach, z największą łatwością widziały płomień otaczający każdy magnes lub żelazo magnesowane, widziały nawet światło magnetyczno-zwierzące, wytryskujące z palców magnetyzera. Czulość tych osób na wpływy zewnętrzne i wewnętrzne miała coś wspólnego z atrakcyjną czulością żelaza ku magnesowi. Reichenbach nazwał tę siłę jasnowidzenia *Odylem*, i uważa ją jako przyrodzoną wielu organizacjom nerwowym, i przeznaczoną do niezmiernie wielkiej i cudownej

przyszłości. Coraz nowe doświadczenia naprowadzają naszego uczonego przyrodnawcę na coraz nowe odkrycia; na odkrycie możliwości zbudzenia prądu wirowego magnetycznego w drzewie, nareszcie na wzbudzenie w drzewie jakiegoś rodzaju jasnowidzenia przez ducha, wolę i wiarę osoby czulkowój, magnetyczno-usposobionój wywołaną.

Uczony professor z całym poświęceniem oddany przedmiotowi przez siebie obranemu, zapuścił się w badanie i doświadczenia kosztujące go niezmiernie wiele pieniędzy; ale też miał zadowolenie, że cała Ameryka, dotychczas najgrubszemu materjalizmowi oddana, i odpychająca wszelką wiarę w jakąkolwiek bądź spirytualność, uwierzyła fanatycznie w magnetyzm zwierzęcy, w jasnowidzenie i w sobomagnetyczność; a zajmąwszy się sprawdzaniem jego doświadczeń, obudziła się z głuchego letargu, w którym czucie wyższe dotychczas w niej drzémało.

Nie będziemy się zapuszczali w ścisły rozbiór wiary i teoryi Reichenbacha, którą on sam w części wyłożył w swych listach o *Odylu*. Rzecz odyła, stolików, ekierok i dusz nieboszczyków,

jest jeszcze zanadto nową, a u nas na nieszczęście, tak dziwnie, chorobliwie i uczuciowo-niedolęźnie pojętą, że najlepiej będzie jak najmniej pochwalnego o tych tajemniczych i uroczych rzeczach mówić,—to tylko dodamy, że Reichenbach znalazł ogromne uznanie w Ameryce, a potem w Europie, że cały swój majątek i pyszną praktykę w Nowym-Yorku, na robienie doświadczeń z *Odytem* i z *Czulkami* stracił, i że zgalwanizowawszy Amerykę do szczególniejszej i czulszej istności, pokrywszy się sławą, powrócił po sześciu-letnim rozłączeniu do Europy w weale biednym stanie majątkowym: bo oprócz pensyi swojej jako professor fakultetu lekarskiego w New-Yorku, Reichenbach nie miał żadnego innego utrzymania.

VII. Nabab indyjski.

Już od trzech miesięcy bawią August, Rudolf i Jadwiga w Reingau u Arnolda Kratz, którego jeszcze starym Kratzem nazwać nie można, lubo jest ojcem trzydziestotrzechletniego syna;—trzyma się jeszcze dzielnie, jeszcze chodzi i jeździ

na polowanie, i już wyuczył strzelać, fechtować się i jeździć konno młodych braci Jadwigi, młodzianów wielkie rokujących nadzieje.

Z jak rzewném sercem używają August, Rudolf i Jadwiga przyjemności chwil zwiastowanych im przed sześciami laty przez anielską postać, gdy razem z nią bujali w eterycznych przestworach, z których ziemia wydawała się jak jaki wielki, ogromny balon. Ale o cudowności tego snu ani śmia mówić, ani śmia zgłębiać zagadki i badać przyczyny, dla których Nieba zabroniły Augustowi żenić się z Jadwigą.

Tylko oczy ich mówią: *szkoda!* gdy się czasem spotkają, bo i on jeszcze w kwiecie wieku i bardzo przystojny, a ona zawsze jeszcze cudnie piękna, świeża, lat ma zaledwie dwadzieścia sześć, a nigdy nie doznała owój bolesno-
nękającej tęsknoty ciała, która tylu młodym kobietom żar wzniecając we krwi i nerwy targając, zdrowie odbiera. Tylko ich oczy mówiły czasem: *szkoda* tylu wdzięków, *szkoda* takiej krwi, a źrenice lżą nie raz się zalały, gdy się w przelocie spotkały, zetknęły i pocałowały. Jednak August i Jadwiga nie targują się z Nie-

bem, poddają się jego wyrokom bez szemrania, i nie pytają, czemu tak srogi wyrok był wydanym przez anioła.

Ale niestety! już jesień nadchodzi; już tylko parę tygodni mieli z sobą spędzić przyjaciele, a potem znów rozstać się, biedz w rozmaite odległe części świata. O! jak im żal było, tym dobrym, pełnym ducha i serca ludziom rozłączając się, rozstawając z ojczyzną i z Europą, tak jeszcze miłą, chociaż bardzo starą;—woleliby pozostać razem i pracować wespół za daleko tańsze pieniądze, byleby dla własnego kraju. Ale kraj ich własny nie zna, lub też potrzebować nie może. Armii księstwa Nassauskiego, składającej się z 5,000 żołnierzy i używającej Bogu dzięki! wszystkich rozkoszy stałego pokoju, cóż po oficerze zdrowia generalskiej rangi? cóż jój po bohaterze lekarskim, wyćwiczonym w krwawém rzemiośle pod gorejącém niebem Afryki?—cóż księztwu Anhalt-Dessau po profesorze wszechnicy kiedy jój wcale nie ma w tym kraju?

Pod obcém niebem znaleźli chłéb, znaczenie i zatrudnienie August i Rudolf; jeden majątku jeszcze nie posiada, drugi już go nie posiada: cóż

dziwnego, że zwyczajem Niemców powiedzieć sobie muszą: *ubi bene ibi patria*. Żalują jednakże, że tak być musi, bo kraj swój szczerze kochają; więc tylko kilka tygodni z sobą spędzą i znów Bóg wie na lat ile rozstać się z sobą muszą.

W tém jednego pięknego wieczora, kiedy przed dworem Arnolda Kratz siadło całe towarzystwo, i smutném okiem spoglądało się na pola już z płonów ogolocene, zajeżdża przed dwór szóstką pocztową kareta jakaś ogromna, podróżna; jeden kamerdyner siedział wraz z woźnicą w kabryjolecie przednim, a dwóch lokai murzynów w tylnym; zeskakują oni z tego kabryjoletu i pomagają wysiadać z karety jegomości jakimś podszłemu, schorzałemu, żółkłemu jak brudna cytryna, z głową siwiuteńką i czarnemi bystremi oczyma. Ten jegomość, lubo brzydki, miał coś dostojnego w sobie, wyglądał jak człowiek do rozkazywania przywykły.

— Mam list rekomendujący do pana téj wioski; w Frankfurcie, skąd jadę, wysławiano mi go jako najzacniejszego obywatela téj okolicy, w której chcę nabyć posiadłość. Jestem mister Wal-

pole negocyjant z Kalkuty! — rzekł dość płynną, lecz niezmiernie po angielsku brzmiącą niemczyzną przybysz, wsadzając sobie okulary na nos i wydobywając list z pugilaresu — A kto z pa-nów jest panem Arnold Kratz?

— Jestem właścicielem téj włości! — rzecze wstając gospodarz i zbliżając się do gościa.

Tu nastąpiły prezentacje wzajemne, bardzo szczegółowe; Nabab już wiedział, że u pana Kratz bawi syn jego i rodzina Reichenbachów, i chciał być przedstawionym każdemu z członków tych rodzin. Jakieś dziwne wzruszenie przebijalo się w oczach i w mowie indyjskiego negocyjanta; towarzystwo pojąć nie mogło przyczyn tego wzruszenia. Zwłaszcza Arnolda Kratz pan Walpole ani spuszczał z oka podczas całej z początku obojętnej rozmowy, która się toczyła o powietrzu, klimacie—a potem przecież przeszła do okolicy tak cudnie pięknej, że o niej z obojętnością rozmawiać nie było można. Nawet stary, skrzeplý Nabab, przyzwyczajony do widoku Himalai i Gangesu i najpiękniejszych Edenów indyjskiego nieba, przemawiał o nadreńskich okolicach z wielkiém uszanowaniem, i za-

ręczał, że w nich umyślił spędzić resztę życia, bo mu i Indyje, po stracie żony i wszystkich dzieci zbrzydły; a tu spodziewa się znaleźć serca, które go może jeszcze pogodzą z smutną koniecznością życia.

— Chcę nabyć Altoffen, dobra graniczące z posiadłościami pańskimi; — rzecze po chwili milczenia pan Walpole — cóż pan o tém mówisz?

— Jedna z najpiękniejszych posiadłości, jakie istnieją nad Renem, a może i na świecie! — rzecze gospodarz. — To istny raj ziemski. Urodzajne pola, winnice z szlachetności owocu na cały świat słynne, łąki bujne zwilżane rzeką i strumieniami, lasy dobrze zaszanowane, pnące się po malowniczych górach, dwór wygodny i okazały, pomarańczarnie, cieplarnie z łazienkami urządzonemi w ich wnętrzu w taki sposób, że pod cieniem najrzadszych roślin i kwiatów brać można kąpiele; parki, ogrody, grotty, wodospady, są nawet na szczycie stromiej góry rozwaliny zamczyska, w których podobno jeszcze duchy zmarłych rycerzy i pań pokutować mają; kościół gotycki z dziesiątego stulecia z mnóstwem sta-

rych pomników — cóż można żądać więcej od Boga, od przyrody i od poezyi? Cena tylko tego Eldorado jest zastraszająca. Milijon złotych reńskich—to prawdziwie nie fraszka; tu w Niemczech nikogo nie stać na zakupienie tak drogiej posiadłości.

— Milijon złotych reńskich! to tylko dwa miliony szylingów — odpowie, ruszając pogardliwie ramionami Nabab indyjski—to u nas w Kalucie nie jest tak wielkie bogactwo; a pan kupiłbyś tę posiadłość, gdybyś miał tyle pieniędzy?

— Przyznam szczerze, — odpowie z westchnieniem Arnold Kratz — że nie miałbym siły oparcia się téj pokusie, bo to starodawny, klasyczny a zawsze dziewiczy i płodny grunt germański; bo z téj posiadłości tak uroczo więknęj nie bardzo ciężką pracą jeszcze czwarty procent wydobyć można. Ale cóżby to dowodziło dla pana? Ja jestem tego kraju obywatelem, obeznany z jego instytucjami, prawami i z gospodarstwem tego rodzaju; w rękach pańskich dalekoby mniej procentowała ta własność, bobyś pan sam, cokolwiek osłabiony na zdrowiu, nie mógł doglądać porządku, a tu z najuczciwszemi

zastępcami i w naszym z rzetelności znanym kraju, trzeba przecież być nadzwyczaj uważnym, zwłaszcza w tak wielkiem gospodarstwie!

— Prawda, prawda, masz pan wielką słuszność, ja sam nie dalbym sobie rady: zdrowie moje bardzo nadwątlone, ja jestem niedołężnym starcem, pan zaś jeszcze silnym, rzeźwym, najlepszego wieku mężczyzną! — rzecze kiwając smutno głową żółty Nabab i doda po chwili: — a jednak tylko cztery lata wieku przedziela nas od siebie: pan masz lat pięćdziesiąt trzy, a ja pięćdziesiąt siedm.

— Skądże panu mój wiek wiadomy? — spyta Arnold Kratz, zdziwiony brzmieniem głosu przypominającego mu naraz jeszcze nieprzebrzmiałe akordy dawniej przeszłości.

— Nie po raz piérwszy zeszły się drogi życia naszego, kochany panie: raz się bowiem spotkały w wiosnie życia, a teraz drugi raz w późnej jesieni, kiedyś pan już w części zapomniał, co się w wiosnie życia stało, lub téż świadków téj wiosny zapomniał.

Pan Arnold Kratz wpadł w smutne dumania, silił się wygrzebać z swéj jeszcze zdrowéj pa-

mięci obraz odmlodzony tego starca, prawie zgrzybiałego; na rozmaite wpadał domniemywania, ale żadne nie prowadziły do najmniejszego rezultatu; przeszłość téj znajomości z starcem pozostała w zakłęciu i żadnego nie chciała wydać sercowego, działanie mózgu zbudzającego oddźwięku.

— Nie sił się kochany panie Arnoldzie; ze mną czas nie postąpił sobie tak laskawie jak z tobą: rodzony ojciec i matka nie poznałiby mnie dzisiaj; ale wierz żeśmy się znali kiedyś bardzo dobrze i ważne ze sobą mieli sprawy. Ha! po cóż was torturować mam dłużej tą tajemniczością? opowiem wam ustęp z życia mojego, który pamięć w panu Arnoldzie wskrzesi; osobom jednak do opowiadania wchodzącym pożyczę na chwilę inne imiona, jestem pewnym, że ich odgadniesz prawdziwe. Ale przedewszystkiem proszę, żebyście mi państwo kochane nie przerywali, aż do końca dojdę; i jakiegokolwiek opowiadanie moje wzniesi w was uczucia, starajcie się słuchać mnie w milczeniu, boby mi sił nie starczyło do dojścia do końca, gdybyście mnie swojemi wzruszeniami nękali; a to co tu

opowiem, z woli Boga zwiastować wam tu wszystkim aż z Kalkuty przybyłem.

Wszyscy spojrzeli ze zdumieniem po sobie, lecz nikt nie pomyślał żeby stary Nabab był obląkanym lub szalbierzem. Wszyscy przeczuwali, że coś ważnego usłyszą, i wszystkich dreszcz jakiś dobrowróżbny ogarnął. A starzec tak mówił:

— Na dalekim wschodzie żył pewien bogaty kupiec niemiecki, który zarazem był konsulem generalnym jednego z wielkich państw niemieckich. Miał z sobą żonę, syna dwudziesto-czteroletniego, córkę szesnastoletnią precudnej urody i sekretarza dalekiego krewnego, sierotę w domu swoim wychowanego; ten sekretarz był nadzwyczaj przystojnym, uczciwym, zdolnym młodzianem, i posiadał piękny mająteczek w Niemczech.

Konsul, człowiek niesłychanie ambitny i znaczenia chciwy, chciał wydać prześliczną córkę swoją za starego negocyjanta, niezmiernie posiadającego skarby, i już wszystko do ślubu było przygotowane; ale w tém znika z domu sekretarz i córka i tylko pozostaje świadectwo urzędowe, dowodzące, że młodej parze ślub tajemnie był wydany już przed trzema miesiącami

przez kapelana konsulatu angielskiego. Znikli bez śladu, tylko matka, zdaje się, wiedziała gdzie się podzieli; bo spokojniejszą była daleko, jak przypadają być w podobnym położeniu.

„Więc zapewne nieopodal bawi młoda para w zakątku jakimś, w oazie ocienionej pyszną łąką, gdzieś na brzegu strumyka w Nil wpadającego“ zaręczał konsul. Dowiedziano się także, że przed kilkoma tygodniami ściągnął młody człowiek dość znaczną kwotę pieniędzy z Europy. Konsul wściekał się ze złości, toż samo i syn jego. Natężyli wszystkich sił i sprężyn, aby wysledzić miejsce pobytu młodej pary: rząd ułatwiał poszukiwania, ale wszystkie starania pokazały się płonnymi. Tak ubiegło kilka miesięcy, nawet pół roku. Razu pewnego konsul z synem wyjechali w podróż, która miała trwać kilka tygodni, a dzięki szczególnemu zbiegowi okoliczności, trwała tylko tydzień; za powrotem do domu, nie zastają w nim pani konsulowej: ta zaraz po wyjeździe męża i syna wydalila się pokryjomu z dwiema niewolnicami i służącą europejską z domu, i obiecała wrócić za dwa tygodnie.

„Niezawodnie udała się do córki, córka musi być w pobliżu!” krzychał konsul; znów zawezwał pomocy wojskowej u rządu, udał się w jedną stronę na wyszukanie żony i córki, a syn jego w drugą stronę na wyszukanie matki i siostry. Syn był niestety! szczęśliwszym od ojca: zapuściwszy się o jakie pięć mil w gęstwinę lasów palmowych, odkrył w pośrodku piasków małą uroczą oazę: tam pobiegł z janczarami swojemi, spostrzegł domek świeżo wystawiony z pewną wykwintnością wśród ogrodu, wkroczył doń i znalazł—Boże drogi! młodą siostrę swoją martwą, białą jak alabaster, umarłą, leżącą na łożu, matkę u jej nóg miotaną konwulsyjami, dziecko nowonarodzone śpiące w kolébce i młodego ojca jego siedzącego w śmiertelném osłupieniu. Wyprowadza go posłusznego jak automata, brat biednej ofiary za dom, pomiędzy gęstwinę, daje mu szpadę w rękę i wzywa do zaciętego boju. Przyjmuje ten bój młody człowiek, i nie wymawiając ani słowa, rzuca się na brata zmarłej żony;—ale na wylot przebity, pada wkrótce na ziemię i w krwi swojej broczy.

Zagadkowy starzec zatrzymał się w opowiadaniu swoim i przenikliwe oczy wlepił w Arnolda Kratz, który blady jak trup, z wysadzone-
mi źrenicami spogląda na gościa swojego i zimny
pot z czoła ociera.

Gość podniósł palec do góry i nim pogroził,
potém sam otarłszy śniadą twarz fularem, dalej
przemawia:

— A gdy w dwa miesiące potém, młody mąż
wstał po raz pierwszy z łoża, na którym paso-
wał się z śmiercią, ujrzał synka swojego pię-
knego jak anioł w kołysce, a gdy się zapytał
o żonę swoją, niema niewolnica, mamka dziecię-
cia, poprowadziła go na miejsce, na którym po-
jedynek się odbył przed dwoma miesiącami, i
wskazała na mogiłę i kamień z napisem świad-
czącym, że pod tą mogiłą leżą popioły żony je-
go, umarłej w kilka minut po powiciu syna.

Znów się wstrzymał gość, tak okropną opo-
wiadający historyją,—a zajęczał Arnold Kratz
jękiem tak przeraźliwym, że całe towarzystwo
struchlało i nań zwróciło oczy. Nabab także wy-
cieńczonym był, i wypił kieliszek Xeresu dla
dania sobie odwagi; znów palec znacząco pod-

niósł w górę i uroczystym głosem przemówił, wyciągając drżącą rękę ku gospodarzowi domu:

— Ale ten kamień kłamał i ludzie nieuczciwie kłamali, co go wznieść kazali,—kłamali ci ludzie okrutnie, bo pod tą mogiłą trupa nie było, bo młoda żona.....

— Bo młoda żona? bo młoda żona? ach! litości, litości! czyś mi nie dosyć złego wyrządził? i teraz jeszcze pasiesz się męczarniami mojemu?

— krzyknął drżąc na całym ciele Arnold Kratz.

— Młecz, młecz! i resztę wysłuchaj, nim ja umrę, bo i mnie przykro rozrywać ranę zadaną od tak dawna. Tak, młoda żona sekretarza konsulatu była tylko w letargu, spowodowanym przez krwotok i wysilenie,—ocknęła się z niego w godzin trzy po pojedynku, w którym był jej mąż na wylot przebity;—do życia powróciła, przeniesioną została do miasta, potem do Europy przewiezioną, nim się skończyła walka, którą śmierć staczała z młodym mężem. Ale wszystkie możliwości zostały przewidziane; dzięki zręcznie poprowadzonym intrygom, ona mniemała, że jest wdową i że jej dziecko umarło, a on mniemał, że jest wdowcem. Potargane zostały

przez kłamliwych ludzi węzły, które dopiero z życiem kończyć się były powinny. Boże! odpuść im, co tyle męki zadali biednej młodej parze!

Łzy puściły się z oczu Arnolda; on ścisnął ręce swoje i spoglądał w niebo, na którym w purpurowym świetle drżało zachodzące słońce.

Gość zebrawszy siły widocznie go odbiegające, mówił dalej:

— Młoda mężatka mniemając się być wdową, została wywieziona do Sycylii, i tam straciwszy matkę i uległszy naleganiom, zawsze ambycją i żądzą honorów ściągającego ojca, została jako *panna* zaślubioną jednemu dygnitarzowi niemieckiemu, który bogatemu teściowi wyjednał tytuł barona, i szumne nazwisko posiadłości rycerskiej, nabytej w Niemczech!

Cha! teraz jakieś światło błysło w duszy Arnolda; on odgaduje tajemniczych a tak rzewnych sympatyj przyczyny, zrywa się, chce się rzucić w objęcia Rudolfa i Jadwigi, płakać chce z radości i Bogu dziękować zanieszczenia swoje,— ale nieubłagany palec starego Nababa przykuwa go do krzesła, nakazuje grożąc milczenie i spo-

kojność. Tortury znosił Arnold, a Nabab dalej opowiada:

— Syn konsula nie miał udziału w tém kłamliwém dziele: on już od roku, zaraz po śmierci matki, uniósł wrzodowe sumienie swoje w dalekie strony do Indyj Wschodnich, i tam rzucił się w jak najhazardowniejsze spekulacje, które mu się dziwnym cudem wszystkie powiodły; tam się ożenił z jedyną córką bardzo majątnego angielskiego kupca, i także przybrał nazwisko, nie szumno brzmiące ojca, lecz z poczciwości słynne teścia. Szczęście sprzyjało mu stale w przedsięwzięciach handlowych, ale nie w pożyciu domowém, bo dzieci licznie się rodzące umierały, gdy do rozwoju dostępowały najpiękniejszego; bo teść jego cnotliwy zszedł z tego świata, i narreszcie cnotliwa i miła towarzyszka młodości umarła. Siedmioro dzieciak dał Pan Bóg i tyleż zabrał: żadne nie doszło szesnastego roku, a żadne nie umarło przed czternastym; jedne padły ofiarą cholery, drugie suchotniczego usposobienia.

Starzec gorzko zapłakał i długo trzymał chustkę przed oczyma, ale drugą ręką nakazywał milczenie, i nikt nie śmiał się ruszyć z krzeselka.

— Więc osieroconym został zupełnie ów szczęśliwy, dostojny, niezmiernie bogaty bankier w wieku, gdy najwięcej podpory potrzebował; smutno spoglądał na przyszłość swoją, nie wiedział po co ma żyć dłużej i co robić z skarbami swojemi. Wówczas ozwały się z szaloną siłą wyrzuty sumienia, dręczyły starca i pokoju mu nie dały nawet w kościele, dokąd uczęszczać zaczął z gorliwością. Nareszcie i siły dotychczas kolosalne, niknąć zaczęły, zdrowie osłabło, boleści i wszystkie wątrobianne przypadłości zjawily się, ciężko zapadł, kosa śmierci już się miała głowy dotychczas z dumą noszonej, zbliżał się koniec męczarni. Ale Bóg łaskaw, i tém łaskawszy im potrzeba większą. Gdy już wszyscy domownicy bogatego Nababa spoglądali na jego majątek, jako na łupyswoje,—zboleły starzec już na śmierć przygotowany, uniesionym został jednej nocy w sfery nadpowietrzne tak wysokie i świetne, że z nich planeta ziemski wydawał się jak balon jakiś zielony, modry i śnieżny, harmonija niebieska zatętniała w uszach jego i doń przystąpiła wysoka postać anielskiej piękności, smętna i blada na cudowném licu, a obleczona w długą po-

pielatą suknię. I ta postać dotknęła się powiek *moich* i ust ręką chłodną i woniejącą jak róża biała, i rzekła:

„Poznajesz mnie Adalbercie?“

„Tyś moja siostra Bianka—oh! biedna Bianka!“ odpowiedziałem.

„Oh! nie biedną jestem,—szczęśliwy kto w rękach Boga i czuwać może nad losem pozostałych na ziemi osób ukochanych. Zwiastuję ci litość Boga, mój bracie, przebłagałeś Go nieszczęściami swojemi; teraz dokonaj dzieła skruchy, wracaj do ojczyzny, a gdy staniesz w Frankfurcie, dopytywaj się o męża mojego pierwszego i o drugiego i o moje dzieci, a pojdziesz co ci czynić wypadnie i umrzesz jak umierać powinien chrześcijanin z pogodą w sercu i z ufnością w litość Boga. Pozdrów moje dobre dziatki, ja czuwam nad nimi i bronić ich będę od niezasłużonych nieszczęść!“

I gdy to wymówiła anielska istota, rzekła jeszcze z boskim uśmiechem na cudnie białej twarzy: „Do widzenia Adalbercie!“ i ręką dotknęła powiek *moich*, znikła w płomiennych obszarach, i znów zabrzmiały niebieskie akordy, a ja

spadałem, spadałem coraz niżej ku ziemi. Gdym się zaś przebudził, uczulem w sobie krzepkie siły i niezwykłą jasność w pojęciach, a zdumiały patrzałem na jeszcze więcej zdumiałych, mnie otaczających ludzi i na palącą się obok mnie żalobną gromnicę, która sama z siebie zgasła. Gdym się zaś przeżegnał święconą wodą i nią pokropił ludzi moich, wówczas wszyscy padli na kolana i jak kto mógł, chwalił Boga rzewnemi modłami, szlochając i płacząc jak wy płaczecie: o mój Arnoldzie szwagrze, o moi siostrzeńcy Auguście, Rudolfie i Jadwigo. Bóg z wami! i niech przebaczy grzesznemu człowiekowi, który waszych nieszczęść jest przyczyną!

Słońce się już pod widnokrąg, po za obłoki chylące, zatrzymało się na chwilę w biegu i obłoki odgarnęło z siebie, aby być świadkiem dziełczynień ludzi, zasyłanych w gorących modłach do Nieba. Uroczysty był to widok zaprawdę i Bogu miły; bo Bóg pragnie być kochanym przez stworzenia tak hojnie wyposażone czuciem jak człowiek, bo go rozkoszą przejmując widok nawróconego grzesznika.

Długo trwały zachwycenia i modły, ale August zerwał się z kolan, rzucił się po raz pierwszy w życiu w objęcia Jadwigi i siostrą ją nazywał. Wówczas jeszcze raz zabłysło słońce purpurowym ogniem, zapadło się pod widnokrag i poszło drugiej hemisferze ogłaszać łaskę Boga tak cudowną, która niewinnych ocaliła od popełnienia zbrodni kaziródtwa.

Mało zostaje do powiedzenia. Adalbert Walpole wyposażył siostrzeńców swoich książęcym majątkiem i oddał tych dwóch dzielnych ludzi krajowi, w którym wzrosli. O rękę Jadwigi ubiegała się najświetniejsza młodzież; ale ona pozostała panną i nigdy nie uczuła, żeby to było nieszczęściem pozostać wolną i niezamężną, kiedy się ma jasne wyobrażenie o swjej godności kobiecój i kiedy się umie być użyteczną światu.

Ale coś w dwa lata potém August ożenił się z piękną, młodziuchną hrabianką Idą Reichenbach, siostrą przyrodnią swjej przyrodniej siostry. Rudolf zaś zamyśla pozostać kawalerem i dalsze robić poszukiwania wkrainie duchów i rodzeństwa chce swojego być podporą.

Adalbert Walpole jeszcze żył miesiący kilka jak najszczęśliwiej pośród swój dzielnej, walnej familii; a potem jednę noc usnął na zawsze. Arnold Kratz ciągle jeszcze żwawy, uczy jeździć wnuka na swém kolanie. Bóg jest z niemi wszystkimi i widocznie się opiekuje potomkami pięknej nieszczęsnej Bianki Reichenbach.

ROZDZIAŁ II.

Zmartwychwstały rybak.

Wróćmy z naszej wycieczki w nieskończone obszary czasu i miejsca do Londynu, i opowiedzmy co się stało w dyspensaryjum cudzoziemskim, tak może w miesiąc po wyjeździe Augusta i Rudolfa.

Officina sanitatis widownią była dziwnie tragicznej, okrutnej a zarazem śmiesznej sceny.

Razu pewnego, gdy zastępca doktora Costello po skończonej ranniej czynności w dyspensaryjum przechodził się po sali, spożywał przechadzając

się zastawione śniadanie i wyzierał przez okno na Tamizę, unoszącą na swych falach pychę i bogactwo Anglii, jedna z tysięcy łodzi po zwierciadle ślizgających się, podpłynęła tuż pod okno dyspensaryjum, gdzie były wschody kamienne, raz całkiem prawie zanurzone w falach Tamizy podczas przyływu morza, drugi raz znowu podczas odpływu wpadające dwudziestoma stopniami w niskie wody rzeki.

Rybak jakiś zakolatał z téj strony do drzwi i prosił, żeby mu zaraz otworzono.

— A cóż *devil on you!* — krzyknie Pseudodoktor Johann, — czy nie dosyć mieliście czasu do południa? teraz przybywacie do dyspensaryjum, kiedy ja znękany pracą, się odżywiam? Już aptekarza nie ma w zakładzie, nie dla was dziś zrobić nie mogę, przyjdźcie jutro!

— Do tysiąca mikstur i proszków doktorze, tu nie idzie o twoje leki w téj chwili, tylko o to, żebyś się natychmiast z nami puścił do wioski leżącej za Greenwich w królestwie Kent, i wyratował nam naszego soltysa rybackiego, bogatego Samivel, który nagle zsiniał, kurczów dostał i przytomność stracił; zapłacimy ci dobrze i z gó-

ry: oto cztery suwereny, ale chwili nie trać, dopóki trwa odpływ, bo inaczej trudnoby było przyjść na czas!

Dał się nakłonić Pseudo-doktor do wycieczki; nie lada to grosz i w Londynie cztery funty szterlingów—to właśnie 170 złotych polskich; miło to zarobić w pięć lub sześć godzin, ślizgając się po zwierciadle najokazalszej rzeki w świecie. Więc nie obliczając się długo ani z sumieniem, ani z wiadomościami swojemi pan Johannski, szkatułkę z lekarstwami i narzędziami zabiera z sobą, dubeltówkę także, bo może natrafi jakiego wodnego ptaka, makintosh i prosto z sali zstępuje w łódź kołyszącą się pod drzwiami; zamyka te drzwi z zewnątrz na klucz i już jest w podróży. Zdarzało mu się dość często, że znajomi wyleczonych przez lekarza dyspensaryjum ludzi przychodzili wzywać jego *płatnej* pomocy; wówczas doktor Costello, gdy mógł zarobić kilka funtów, sam chętnie podejmował się fatygi i jechał do chorego; gdzie zaś widział, że płaca mała, a choroba nietrudna do odgadnięcia, tam posyłał zastępcę swojego; ale tym razem dyrektora zakładu nie było w domu, rybacy naglili, więc pan

Johanski, który może już i uwierzył w zdatność swoją, czuje się upoważnionym do przyjęcia propozycji.

Samivel rybak a zarazem chłop, kawał pięknego gruntu posiadający, mieszkał niedaleko od brzegów Tamizy w wiosce o jaką milę za Greenwich. Brutalski to był człowiek, tak jak wszyscy rybacy tamizańscy, a zwłaszcza ci, co w królestwie Kent mieszkają; a najlepszy dowód że nim był, jest, że przed dwoma laty sprzedał, korzystając z przywileju nadanego królestwu Kent przez króla Edwarda III, sprzedał mowę, na Londyńskim Smithfield, to jest targowisku bydłęcóm, drugą swą, młodą i piękną żonę za to, że ją znalazł w rozmowie występnej (*criminal conversation*) z jednym oficerem artyleryi z Woolwich. I dziecięcia nawet swojego nie pozwolił wziąć biednej kobiecie surowy rybak, tylko ożenił się na nowo z kobietą starą, brzydką i złośliwą, która codziennie po kilka razy biła owo dziecko najwięcej dla tego, że jego matka była pięknnością, zazdrość wszystkich brzydkich kobiet wzbudzającą.

Pił zaś niesłychanie rybak Samivel, pełno go było po wszystkich okolicznych karczmach i sły-
nał z swój siły w boksowaniu się na całe hrab-
stwo.

Ale przyszła kryska na Matyska, jak to u nas mówią. Teraz Samivel leży rozciągnięty na łożu, siny i zimny, drgają mu nogi i ręce, oczy ma jak ze szkła i wyparte z jam, mało co dyszy, a puls prawie żaden. Słowem umiera.

— Dla Boga! to cholera morbus, azyjatycka jak kalmuk a zaraźliwa jak djabel! — krzyknie Pseudo-doktor, który słyszał, że od pewnego czasu cholera wałęsając się po Europie, sporadycznie lubiła wyrwać tu i owdzie jakiego pijaka, karciarza lub innego nieporządnego człowieka.

— Pulsu nie ma, połykać już nie może—nie z niego nie będzie. Radzę wam nie przystępować do chorego, a skoro tylko umrze, pochować go jak można najprędzej za nadzwyczajnym pozwoleniem, którego wam zwierzchność nie odmówi, bo taki trup najwięcej rozsiewa zarazy. Wam zaś wszystkim, co otaczacie lub otaczaliście, albo otaczać będziecie choleryka, radzę,

abyście odemnie kupili po buteleczce *Eliksiru fugo-chrusto-cholero-morbusowego*, patronizowanego przez księcia Alberta, księżnę Kent, arcybiskupa Kantorberskiego i pana Cobden. Buteleczka kosztuje tylko trzy szyllingi, a zabezpiecza od cholery na sześć miesięcy i dni tyleż; cudowna władza tych kropli—nic dotąd na świecie nie wynaleziono dobroczyńniejszego. Wynalazca za te krople dostał order kąpieli, podwiązki i runa.

Z przedziwną przemawiał doktor Johannski pewnością siebie samego, oczarował rybaków i chłopów, rybaczki i chłopki stojące dotychczas z otwartymi na ościerz ustami; wszyscy od razu rozbiegli się po pieniądze, aby nabyć tych cudownych kropli, strzegących przez miesiący sześć i dni tyleż od śmierci.

Ale Pseudo-doktor nie ma tych kropli z sobą, tylko pieniądze zgarnia, obiecuje przysłać je przez rybaków, co go odwiozą; ale prosi, żeby to jak najprędzej nastąpiło, bo z cholera żartów nie ma, od pośpiechu wszystko zależy, a łatwo można umrzeć bez tych kropli.

— Aha! nie mówilem, już chory przestał odychać, już dusza jego w rękach łaskawej Opa-

trżności; odsyłajcie mnie jak najprędzej, trumnę możecie zaraz kazać zakupić przez rybaków w Londynie, bo tam tańsze, a dostanie ich za każdą cenę i na każdy wzrost w każdej chwili: bo wszyscy tu jesteśmy przygotowani na przyjęcie cholery od doktora do stolarza! — tak krzyczy Johannski, gdy chory oddychać przestał.

Istotnie chory przestał oddychać; dzieci w płacz, żona chce mu się rzucić na szyję i ucałować go po raz ostatni i zamknąć mu oczy, ale Pseudomedyk nie pozwala, i sam odważnie zamyka *umarłemu* oczy, nagłąc, żeby natychmiast wzięto się do wykopania mu grobu.

Odwożą doktora rybacy, wiele mówią o cnotach nieboszczyka, który ich wcale nie miał; rzewnie oplakują go i tęgiemi łykami dżinu się pokrzepiają.

Kolega Johannski z namaszczeniem prawi o nieśmiertelności duszy, o anielskich rozkoszach nieba, o miłosierdziu Boskiém: „darmo, każdy z nas umierać musi koniecznie, na śmierć jeszcze żadne nie urosło zieleń; śmierć to jest wstęp do innego doskonalszego życia, Amen!“

Rozrzewnieni rybacy wylewają łzy i zastępują je hojnemi łykami narodowego ginu.

— Niech mu dobrze będzie na tamtym świecie, tak jak nam było źle z nim w tym tutaj; rzadko który z nas nie dostał tęgiego kulaka od niego; tak Bogiem a prawdą mówiąc, nieboszczyk Samivel odznaczał się nader niechlubnie zawadyjactwem, dzieci wychowywał najgorzej, żony swoje bił okropnie; a tę drugą, tak ładną i dobrą, sprzedał na targowisku za pięć funtów szterlingów, które zaraz tego samego dnia najhaniebniej przepił!“ mówił rybak Dick Swallow.

— Pysk zaś miał wyprawny jak stara cholewa, kłął, niech mnie siarczysty piorun trzaśnie jak poganin, a żarł się z sąsiadami jak pies zgłodniały. Jemu dobrze a nam lepiej! — powie Billy Deaddrunk, odstawiając butelkę od gęby.

— Byłby przepił cały majątek, a dzieci na hultajów i żebraków wystawił: dobrze zrobił że umarł! — twierdzi Toby Bumper.

Odstawiono doktora Johann do zakładu, zabrano z niego buteleczki z cudownym eliksirem *fugo-chrusto-cholero-morbusowym*, napito się po dwa kieliszki rumu i udano okropnie upitymi do

stolarza po trumnę. Kolega przeliczył zarobek. Dalibóg sześć funtów i cztery szylingi czystej gratki,—niech złotko idzie do złotka, sreberko do sreberka: nie źle szarlatanom i w oświeconej Anglii.

Pięć dni minęło jak najprzyjemniej pomocnikowi dyrektora zakładu lekarskiego Foreign-Dispensary. Aż tu jednego popołudnia, kiedy chirurg Johann znów śniadanie swoje zajada, i lubieżnie kosztuje błogich chwil po pracy, aż tu znów z przyływem wody zawijają dwie łodzie pod okna dyspensaryjum, i Johann poznaje w jednej kilku znajomych swoich rybaków ze wsi Greenlock, a w drugiej rozeznaje jakąś dużą skrzynię przykrytą żaglem.

— Zapewnie znów mnie do chorego powołują! — rzecze z nietajoną radością szarlatan — i jeszcze mi przywożą prezent, najniezawodniej jaki dobry polów; jak to dobrze czasem przypomnieć się, mówiłem że mi wielkie żywe ryby do doświadczeń fizjologicznych niezmiernie potrzebne!

— Otwieraj, otwieraj doktorze! — krzyknie

Dick, Billy i Toby, owi rybacy, którzy odwozili pana Johann z Greenlock. Pseudo doktor otwiera. Pakuje się do sali wraz z innemi rybakami mężczyzna jakiś ogromny, z brutalską, pałającą twarzą, a rysy téj twarzy nie są nieznane naszemu chirurgowi, jakąś w nim wzbudzają odrazę, twogę—dalibóg blednie doktorzyna, kłapie zębami, a oczy wyzierają mu z jam kołem.

— Aha! cóś mnie podobno poznajesz dobry przyjacielu? — rzecze olbrzym.

— Nie, nie! nie poznaję was — odpowie drżąc z strachu Johann.

— To mnie zaraz poznasz, poznasz mnie po ubiorze, któryś mi sprawił! — rzecze znów z srogim uśmiechem rybak, i kiwnął na swych towarzyszy, którzy wnieśli do sali dyspensaryjum skrzynię jakąś ogromną, nieciężką, a żaglem pokrytą.

— Poznasz mnie po tym drewnianym surducie, nieboraku! — krzyknie olbrzym i ściąga żagiel z skrzyni.

— Cha! cha! — jęknie Johann cofając się w tył, bo tą skrzynią była ogromna, czarna *trumna*, a na niéj blacha z napisem:

*Samuel Drawsy of Greenfolk**Aged 51 years.**victim of Cholera—Morbus.*

— Spojrzyjno tam, przekonaj się czy ja tam leżę! — krzyknie okropnym głosem Samuel Drawsy, bo on nim był w istocie, on, *ten sam*, którego przed pięcią dniami kazał pochować jak najprędzej nasz doktorzyna, żeby trupem swoim nie zaraził powietrza; tak, *on sam*, pełen siły i zajadłości, która mu pryskała iskrami palającymi jak rozognione żuzle z owych żrenic, co niedawno świeciły skonał jak mdle szkielka w czarnych zapadłych jamach.

Biedny Johann: on wyglądał więcej do trupa jak do żyjącego podobny, włosy najeżyły mu się na głowie, brwi nawet sterczały jak szczotki, a w oczach osłupiałość, w uszach tętnienie, w twarzy przed chwilą rumieńcem zdrowia i siły odzianej, bladość trupia.

— Może nie wierzysz człowiecze że jam żyjący? — wrzaśnie przeraźliwie rybak, i kuliakiem okropnym godzi raz w twarz i dwa razy w piersi biednego chirurga.

Twarz nie pokryła się nawet rumieńcem, tylko wklęsłość od paznogi w niej pozostała, ale piersi zatętniały dwa razy żalonym jękiem i o mało co się nie przewalił silny, kolosalny niemiec.

— Cha! milczysz, milczysz człowiecze! — rzecze znów trzęsąc się od złości rybak — Ja ci opowiem co się ze mną stało tu w obec świadków: Gdyś mnie kazał pochować, grób mi wykopano natychmiast, trumnę mi przywieziono, obleczone mnie w świąteczne ubranie, wpakowano w trumnę, noc całą czuwano nademną; a potem nazajutrz, gdy mi wieko przybijano, runęły krzeselka, na których postawiona była trumna, i ja z nią padłem na ziemię. Wówczas Bóg się zlitował: strumienie krwi uszły mi z nosa i oblaly karawan, na którym mnie wieziono na emętarz; a gdy mnie spuszczać chciano do grobu, ja wydałem jęk, jęk z głębi duszy wyrwany, i ci ludzie, co tu są ze mną, oderwali wieko i zoczyli mnie żywym!

Cha! złodzieju życiem frymarczący, a niezdolny rozeznąć trupa od żyjącego, cholery od apopleksyi,—tyś mi nie puścił krwi, nie postawił

pijawek i synapizmów, tyś mnie chciał pochować żywego i oddać na pastwę najokropniejszych męczarni! Wet za wet: teraz ty idź mnie zastąpić w grobie, wszystko przygotowane, jest trumna, grób, ksiądz zamówiony na twoje usługi; dalej! ruszaj do trumny, dalej! nie wart jesteś żyć, kiedy żyjących poczytujesz za umarłych. Weźcie go bracia i pakujcie do trumny, pogrzeb będzie miał gratis ten niecnota w moim własnym grobie.

— Tak! trzeba go pochować żywcem, bez żadnej litości, wet za wet; jak on chciał zrobić naszemu poczciwemu Samiwełowi, tak my jemu zrobimy, jeszcze go nie kosztować nie będzie pochowanie: to ma w zysku! — krzyczeli w niebogłosy towarzysze rybaka, a pomiędzy tłumem odznaczał się wrzaskiem i energiją Dick, Billy i Toby, dawni znajomi chirurga. Wzięto się do nieszczęsnego chirurga kompanicznego, a on jeszcze głosu wydać nie mógł, gdy już leżał w trumnie, tak był załęcznionym; już i wieko przybijając miano, — gdy naraz wystąpił z tłumu doktor Costello z dwoma konstablami, berła w ręku dzierżącymi i zawołał:

— W imieniu prawa i królowej! odstąpcie!

Wszyscy odstąpili natychmiast.

— Wylaż z trumny panie Johann! — powie do umierającego ze strachu chirurga doktor Costello.

Gdy sympatyczną twarz doktora ujrzał Johann, otucha weń wstąpiła i jednym susem wyskoczył z brzydkiego drewnianego surduta.

— Więc wy bezbożnicy chcieliście zabić najokropniejszą śmiercią człowieka, który przez pomyłkę wziął tego pijanego balwana za trupa?— spyta zgrai doktor Costello, który w potrzebie umiał władać językiem jak rodowity anglik. — Więc wy poganie chcieliście karać tego człowieka najokropniejszą śmiercią za to, że był narzędziem Boga i przestraszył tego ladaco, tego zawadyjaka, wszystkich spokojnych ludzi napastującego? Ach! bezbożnicy! ach Anglicy! godności chrześcijańskiej nie pojmujący; zaraz mi tu precz wraz z trumną, niech wniej sypia bezbożnik, żeby nie zapomniał co go czeka wkrótce, jeśli się nie poprawi. Dalej, marsz! precz mi z téj sali!

Zastanowili się rybacy, ale nie usłuchali bynajmniej rozkazu, bo popici byli potężnie, i bute-

lek kilka dżinu i rumu znalezionych pod katedrą Eskulapa, bezprzestannie pomiędzy nimi krążyło.

— Jesteśmy w naszém prawie, mój dobry panie! — rzecze nareszcie Samiwel, lyknawszy z kwaterkę rumu — wolę djabła zjeść, niż odstąpić od partyi: ząb za ząb, szyja za szyję; tu nie pomoże ani prawo, ani królowa, trza go żywcem pochować, bo inaczéj on gotów wielu ludziom tego samego figla wypłatać,—i dalibóg na honor, niech mnie piorun trzaśnie—nawet, nawet ich gotów na koszta pogrzebu wystawić hultaj jeden, tak jak mnie wystawił. Nie daruję!

— Koszta pogrzebu? ach! to masz słuszość kochany panie Samuelu Drawsy! — rzecze doktor — wystawiać kogo na koszta pogrzebu zupełnie niepotrzebnie, to rzecz nie do darowania. Niech tedy zwróci koszta pogrzebu!

— I cenę trumny dobrodzieju! — krzyknie Samiwel.

— Rozumié się! — odpowie doktor.

— I za dzwonne, i za pokładne, i za świeczne, i za pilnowanie ciała, i za przeniesienie go na cmentarz, za wykopanie grobu, za assysten-

cyją księdza i za ucztę pogrzebową, której przyjaciele moi użyli chociażem odżył! — krzyknie Samiwel.

— Darmo, nie ma co mówić, niech zapłaci wszystkie koszta,—a potóm uściskajcie się i rozstańcie najlepszymi przyjaciółmi! — powie doktor.

— Pał djabli! niech i tak będzie, niech na-przód zapłaci, a potóm,—może go innym razem złowimy na nasze podwórko, lub na nasz cmentarz, gdy konstablów nie będzie. Jest tam jaki piśmienny pomiędzy wami, żeby zrobił rachunek? a przecież tu z nami jest nasz bakalarz parafijalny Master Bummfiddle. No, pisz, ja ci dyktuję; tu siądź na owym tronie mądrego doktora, który zdrowych ludzi każe grzebać.

I tu dyktował rybak bakalarzowi:

	<i>Fun. szter. Szyl.</i>	
Za moją trumnę	4	
Za blachę z napisem śmier- telnym		10
Za pilnowanie mojego ciała .	4	
Za żałobne dzwonicie na moją intencyją	4	10

Fun. szter. Szyl.

Za pokładne na dwadzieścia lat dla mnie	2	40
Księdzu, kościołowi, kantorowi za honory ciała mojemu wyświadczone.	4	45
Jalmużnę	1	40
Za przeniesienie mojego ciała na cmentarz		45
Cena sukni grobowych, których już nie przywdzieję	3	45
Za ucztę pośmiertną na moją intencyją spożytą.	5	40

Co wszystko razem czyni, ile to bakalarzu?—
spyta żyjący nieboszczyk.

— Dwadzieścia pięć funtów i piętnaście szyl-
lingów! — odpowie bakalarz.

— Poczekajno, poczekaj Skrybo! — przer-
wie rybak — wliczno w to cztery funty hono-
rarium lekarzowi, i funt za przewiezienie do
Greenlock i nazad do Londynu kochanego do-
ktora mojego!

— Co wszystko razem czyni trzydzieści fun-
tów i piętnaście szylingów! — rzecze bakalarz.

— A bakalarzowi pięć szylingów za zredagowanie rachunku, co wszystko czyni razem netto trzydzieści jeden funtów, żadnych szylingów i żadnych pensów. Dalej! proszę o zwrot tój kwoty; masz pan za to piękną, mało używaną trumnę, i suknie moje świąteczne także nie wiele używane.

— Trzydzieści jeden funtów szterlingów! Zwei hundert siebzehn Thaler! ach! dla Boga żywego, i to dla takiego człowieka! — krzyknie łapiąc się za głowę chirurg.

— Ani słowa więcej, tylko daj pieniądze; bo tobie wytoczą process kryminalny, a mnie odbiorą posadę, dalej! wiem że cię stać na to, raturuj siebie i mnie, kiedyś sam załazł w błoto i mnie za sobą w nie pociągnął — zaszepnie chirurgowi do ucha doktor Costello.

Nie ma rady. Chirurg poszedł do kassy swojej, wydobył złotko i sreberko, i wyliczył kwotę fatalną;—mało co zostało w kassie.

Samiwel przeliczył i zagarnął; koronę dał bakalarzowi, resztę do kieszeni schował, i tryjumfalno-pogardliwie na chirurga spoglądał.

— Masz ty sumienie człeczce, biednemu lekarzowi odbierać grosz wdowi, ty, co masz pola i łąki i żyć możesz swobodnie? — rzecze do rybaka Johannsky.

— Żebyś ty był człowiekiem jak inny, tobyś był na moje kulaki dane ci wnos i w piersi odpowiedział również tęgiemi! — odrzecze najspokojniej anglik.

— Ach! niechże cię *Donnerwetter* trzaśnie, przeklęty gburze, terażes mi dotarł aż do serca; masz odpowiedź na twoje kulaki! — wrzaśnie Niemiec z niesłychaną wściekłością, i nie wiele myśląc, jak palnie Anglika pięścią w twarz, aż mu kapelusz spadł i głowa się zachwiała.

Trzeba wiedzieć, że Niemiec, gdy się go zanadto maltretuje, wpada w szal jakiś wściekły, który sam nazywa: *Berserker Wuth*, to jest wściekłością Odyńca.

Anglik gdy otrzymał cios, rzekł najspokojniej w świecie: „*a very good blow*“ bardzo dobra pięść; zdjął z siebie spencer i szelki, ścisnął się pasem, stanął w postawie boksera i powiedział:

— *Come on, if you please!* (dalej jeśli łaska).

Wyzwanie na boksy! pojedynek święty u Anglika, szanowany jak tradycyje starodawnych czasów; żaden Anglik nie śmie odmówić takiego pojedynku, jeśli nie chce uchodzić za najoczywistszego tchórza lub za słabiznę, do którego żadna dzielna nie uśmiechnie się dziewczyna.

I chirurg niemiecki zdjął surdut, kamizelkę, szelki i opasał się rzemieniem, stanął śmiało na polu z pięściami przed twarzą, czekając zaczepki,—a wszyscy przytomni, nawet doktor Costello i konstablowie obścapił zapaśników z wyrazem uszanowania na twarzy, aby być świadkami i sędziami tego honorowego boju.

Nie długo czekał zaczepki Niemiec. Anglik przypadł do niego i nuż mu wymierzać centnarowe pięści to w twarz, to w ramiona, ale nigdy w brzuch, bo to niehonorowo w takim pojedynku.

Dzielnie paruje chirurg, zapaśnika z oczu nie spuszcza, wszystkie poruszenia i chęci naprzód wyczytuje z zaszlego krwią ślepią przeciwnika swojego, daje mu się wysilać, tylko kiedy niekiedy dobrze wymierzonym kulakiem w siny nos, lub w białe kły żywi złość jego; odsuwa

się zręcznie w bok, przysuwa jeszcze zręczniejszemu z tyłu, w kark go bodzie buhajski i z niewypowiedzianym zadowoleniem dla wszystkich, nawet dla cnotliwych konstablów, tak zręcznie i umiejętnie bój prowadzi, że Samiwel już sapie i przytomność z wściekłości traci; a on, chociaż rozgrzany i mniej silny od herkulesowskiego przeciwnika, jeszcze ani atomu z sił swoich nie postradał.

— Splendid! splendid Doctor! świetnie, świetnie doktorze! — krzyczą wszyscy i do walki pobudzają kogutów bez pierza i bez grzebienia na głowie.

Sypią się iskry z źrenic Niemca, pojmując, że bojem oczy w oczy nie da rady olbrzymowi, już go i ramiona od parowanych ciosów niezmiernie boją, musi udać się do szermierskiego fortelu, inaczej legnie. Więc odskakuje potężnym susem na lewo od przeciwnika, natychmiast się odwraca w tył, i nim Anglik zdążył zrobić na lewo w tył, trafiła go pięść chirurga na odlew, i że tak powiem, na chybił trafił rzucona tak mocno w skronie lewe, że natychmiast padł jak długi na podłogę, zadrgał trzy razy na ca-

lém ciele, i poruszenia najlżejszego nie zrobił więcej.

— *A dead man!* umarły człowiek! — krzyknęli wszyscy z angielską obojętnością. — Zdaje się że już umarł doktorze?

— Istotnie, teraz na dobre umarł! — rzekł doktor — wylanie krwi w mózgu nastąpiło; to już pewno nie letarg; ale spróbujmy, może jeszcze pójdzie krew, puszcę mu ją.

Gdzie tam, Samuel Drawsy Bogu ducha na kilka dni pożyczonego, tym razem w zupełności oddał; umarłym był jak rostbif, nie ma co mówić.

— Winszuję panu! śliczna pięść, podaj mi ją pan, abym mógł się poszczycić, żem uściskał pięść, która jednym ciosem zwała z nóg takiego kolosa, jak nasz kochany Samuel Drawsy! — rzeknie jeden rybak do niemca.

— *Skake hands with me also!* mnie także podaj dłoń — rzecze drugi. I wszyscy chcieli mieć zaszczyt uwielbienia potężnej pięści chirurga, nawet konstablowie.

Z wszystkimi się wyściskał najserdeczniej Johann; ale potem poszedłszy do głowy po rozum, rzekł niby naiwnie, ale bardzo na seryjo:

— Ach! moi przyjaciele, teraz mi zwróćcie pieniądze, które mi wydarł dobry mój przyjaciel Samuel Drawsy za to, że był żywym; teraz jest trupem, ma trumnę, grób, opłacił księdza, dzwonić mu drugi raz nie potrzebują; zgadzam się tylko na zapłacenie powtórnej uczty, ale honorarium moje lekarskie w zupełności reklamuję!

Zrazu się zadziwili koledzy poległego, ale w chwilę potem rzekł Billy:

— Co prawda, to nie grzech; doktor uznał go cokolwiek przedwcześnie trupem, ale teraz nim jest: legł w pocziwym pojedynku; co nam do tego wchodzić, z czyjéj ręki legł, albo raczéj on miał prawo *położyć* go, kiedy był wyzwanym. Stawiam mocyją, że należą się doktorowi tak dobrze pieniądze, jak umarłemu trumna!

— Popieram mocyją! — krzykną Dick i Tony.

— Do wotowania tedy! — rzeknie Billy — kto jest przeciw mocyi?

Nikt nie był przeciw mocyi. Wydobyto tedy z kieszeni nieboszczyka pieniądze, oddano chirurgowi funty szterlingi, trupa zapakowano do trumny, napito się litku; a ponieważ się odpływ morza zjawiał tymczasem, więc zaniesiono tru-

mnę do łodzi i powrócono do Greenfolk pochować nieboszczyka już teraz na dobre. A że się już wprzódy wyplakali dostatecznie, więc teraz śpiewając „*Merry England for ever*“ wieźli trupa do grobu.

Kolega Johann siadł znużony na krzesło, gdy rybacy odplynęli, i nie wiedział, czy się ma cieszyć z pracy dziennój, czy też raczej smuć; ale nie zapomniał wyszukać z pod katedry butelki dobrego rumu, wysmarować sobie nim ramiona i z kwaterkę łyknąć.

Doktor Costello zawsze dobry i przytomny, patrzył na pomocnika swojego, i potem przysunął się do konstablów, coś im długo po cichu w ucho prawił, a oni mu oczywiście jakieś dawali rady i zaspakajali go.

Potém jeden z nich przybliżył się do walecznego Niemca, dotknął go swym berelkiem i rzekł:

— Człowiecze nieznany mi z nazwiska ani z godności, aresztuję cię w imieniu prawa i królowej, jako *przeświadczonego* o zabójstwo, popełnione w naszych oczach; i wzywam, abyś

bez najlżejszego oporu poszedł ze mną do więzienia kryminalnego.

Johann wstał, ubrał się i był gotowym.

Drugi konstabl, jakiś dobry człowiek, zmięczony tą gotowością, przybliżył się do więźnia i szepnął mu w ucho:

— Nie obawiaj się pan, po wielkiej burzy mały deszcz: najwięcej co cię spotkać może to *to*, że będziesz powieszonym na szubienicy i wiśiał na niej, aż śmierć nastąpi, i jeszcze pół godziny dłużej *dla przykładu*.

— I to nic? głupi ośle! — ozwie się Johann z wściekłością — i to nazywasz małym deszczem, durniu! psie plemię! barbarzyńco!

— Cha! obraza majestatu dokonana na osobie sługi prawa! — krzykną konstablowie — trzeba go teraz odstawić do wcale innego więzienia, nie do kryminalnego lecz do politycznego, bo ostatnia teraz popełniona zbrodnia jest politycznego charakteru i wcale inaczej musi być karana.

— Bravo! — szepnie chirurgowi w ucho doktor Costello — bravo! bravissimo! będziesz skazanym na miesiąc więzienia a nie na śmierć, bo

cię królowej sąd sędzić będzie. *God save the Queen!* ona zawsze łaskawa.

I tak też było. Chirurg Johann wyszedł obroną ręką ze sprawy, i dał sobie później radę, tylko już się nie miewał nigdy do medycyny wewnętrznej, i sumienniejszym był od wielu prawdziwych doktorów medycyny.

Nie w jednym miejscu stało się, że żyjącego wzięto za trupa; nawet raz tak się przytrafiło czterem sławnym lekarzom w moich oczach, i pacjentka bezemnie byłaby pochowaną żywcem.

KONIEC TOMU PIĄTEGO.

403611

403611